



ROK XVII

NR 3 (843)

ŁÓDŹ, 17 STYCZNIA 1974 ROKU

CENA 3 ZŁ.

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO – KULTURALNY

♦ POWTÓRKA Z HISTORII ♦ POKOLENIE WIELKIEGO ZWROTU ♦ H. Polak – ROBOTNICZY ŻYCIORYS ♦ A. Seghers – JANEK Z ŁÓDZI
♦ S. Fijałkowski – FOTOGRAFIE SPRZED 29 LAT ♦ Ewa Bekier – PRZYSTAŃ NA SZLAKU KARAWAN ♦ FELIETONY ♦ RECENZJE



Fot. W. Parys

BOGACI ŚWIADOMOŚCIĄ dokonanych przemian

Z BOLESŁAWEM KOPERSKIM – I sekretarzem KŁ PZPR,
przewodniczącym Rady Narodowej m. Łodzi
rozmawia – Lucjusz Włodkowski

Mija 29 rocznica wyzwolenia Łodzi spod hitlerowskiej okupacji. Mija 29 lat od chwili, kiedy Łódź stała się również wolna w sensie społecznym, od chwili, w której klasa robotnicza, bogata rewolucyjnymi tradycjami, wzięła władzę w swoje ręce. Wolność przyniesli żołnierze radzieccy i walczący u ich boku żołnierze polscy, ale nowy ład społeczny trzeba było budować od podstaw. Trzeba było uczyć się gospodarzenia tym, co pozostało po poprzedniej formacji społecznej, trzeba było uczyć się inaczej myśleć, działać, postępować. Trzeba było nie tylko odbudowywać kraj po wojennych zniszczeniach, ale też tworzyć nowe państwo, oparte na sojuszu robotników i chłopów, państwo, w którym gospodarzami byli wszyscy pracujący.

Nie były to łatwe czasy. I nie tylko dlatego, że wówczas wszystkiego brakowało, ale również dlatego, że przejmując władzę, trzeba było uczyć się jej sprawowania, trzeba było kształtować nowy stosunek do otaczającego świata, pełnego sprzeczności i powikłań.

Dziś – w przededniu 30 rocznicy PRL – czasy pierwszych dni wolności oceniamy już z historycznej perspektywy. Przeszliśmy ogromny szmat drogi w naszym społecznym rozwoju, ale zawsze wracamy do początków naszej współczesności, aby tym trafniej ocenić nasz dorobek, aby pełniej zrozumieć to, co osiągnęliśmy, jakie zmiany stały się naszym udziałem i jakie zmiany zaszły w naszej świadomości. I chyba obok materialnego dorobku zmiany w świadomości społecznej, zmiany w sposobach myślenia można uznać za najbardziej cenne?

— W ludzkiej pamięci najsilniej utrwala się niektóre tylko okresy, niektóre wydarzenia i fakty. Inne zacierają się, stają się mniej wyraźne — mówi **BOLESŁAW KOPERSKI**. — Najchętniej zawsze wspominamy okres młodości. Tak się złożyło, że pierwszy okres władzy ludowej wiąże się z moją młodością. W latach 1945–1952 pracowałem w ruchu młodzieżowym. Najwięcej kontaktowałem się z młodzieżą robotniczą, ale miałem też styczność z młodzieżą z innych środowisk, a także z dorosłymi, z którymi współpracowałem. Patrząc więc wstecz, w początki naszego 30-lecia najjaśniej widzę porównania między młodymi wówczas a dziś.

— Czy rzeczywiście ówczesna młodzież była tak inna od dzisiejszej?

— Sądzę, że młodzi w każdym pokoleniu są sobie podobni, a jednocześnie różni. Podobni swoją młodością, zapalem, dążeniem do poznania świata. Różni, bo różne są warunki, w jakich wzrastają, wychowują się, w jakich dążą do tego, aby wejść w życie społeczne.

— Czy to jest tylko różnica czasów?

— W znacznej mierze, jeśli czas rozumieć jako zespół warunków i tradycji. Prosty przykład. Wówczas młodzi garnęli się do swoich organizacji, bo była to forma działania, której poprzednio nie mieli. Praca w organizacji dawała wówczas młodym poczucie siły, stwarzała możliwość

szybkiego wejścia w szeroki i różnorodny nurt pracy społecznej, tworzyło się poczucie szerszej użyteczności, było polem ostrej walki ze starym światem, z tym, co musiało odejść. Dziś, od najmłodszych lat istnieje możliwość wychowywania się w grupie, gdzie kształtuje się poczucie więzi. I dlatego dziś jest już inny stosunek do organizacji młodzieżowej, choć nie straciła ona ze swej roli, jaką odgrywa w procesie wychowania młodego pokolenia.

— Stanowi ona ważne ogniwo tego procesu.

— A wówczas bardzo często sprzeciwiała się tradycyjnym pojęciom, ukazywała młodym nowe, rewolucyjne ideały, uczyła ich zupełnie innego spojrzenia na świat. Przecież wówczas na wyższych uczelniach, a także powstały po wojnie i w Łodzi, przeważała młodzież pochodzenia inteligentckiego, która przychodziła uczyć się, nie uświadamiając sobie niejednokrotnie, jakim celem będzie służyła zdobyta przez nich wiedza. Patriotyzm i zapal młodych był wykorzystywany często przez ludzi, którym obcy był nowy ustrój. Te młodzież trzeba było dopiero pozyskać dla tego, co dokonywało się w kraju. I takie zadanie stawiała partia przed organizacjami młodzieżowymi.

Dziś na wyższe uczelnie przychodzi w przeważającej większości synowie robotników i chłopów, przychodzi młodzi, świadomi czemu i komu będzie służyć ich wiedza. Ich zaangażowanie wynika z pobudek ideowych i patriotycznych, podczas gdy zaangażowanie młodych z tamtych czasów było emocjonalne. I ta zmiana w stosunku młodych do nauki i społeczeństwa jest sukcesem naszego systemu wychowania, stanowi o sile naszego ustroju.

— A dorośli. Jak wśród dorosłych zmienił się system myślenia przez tych 30 już lat?

— Jak pamiętamy, wówczas z ogromnych potrzeb zniszczonego kraju narodziła się idea „Wyścigu Pra-

MIASTO zapamiętane

Dwunastego stycznia 1945 roku ofensywa radziecka ruszyła z całą siłą uderzenia. Marszałek **ZUKOW** rozkazał przyspieszyć operację na „odcinku Łódź”, aby wyzwolić miasto bez zniszczeń. Pierwsza Armia Pancerna gen. **KATUKOWA** dokonała głębokiego manewru oskrzydłającego. Jednocześnie zmotoryzowane oddziały gen. **TICHONCZUKA** zaczęły nacierać na miasto od strony wschodniej...

Był piątek, 19 STYCZNIA 1945 ROKU. Radzieckie czołgi weszły do miasta w samo południe...

I tak się zaczęły pierwsze dni wolności, pierwsze tygodnie, miesiące, lata. Spróbujmy opowiedzieć o tamtych dniach, oddać klimat i nastrój tamtych tygodni — sięgając do relacji i wspomnień utrwalo-nych na kartach pamiętników.

A wówczas wszyscy ciągnęli do Łodzi. W porównaniu ze zburzoną Warszawą to miasto było w jakiś sposób normalne, dawało możliwość normalnej pracy — tej pracy, z której powoli wytłaniała się nowa, ludowa rzeczywistość.

Wspomina **IAN DĄB-KOCIOL**, pierwszy wojewoda łódzki:

„Łódź po Lublinie zrobiła na mnie wrażenie dużego, ruchliwego miasta. Cieszyła panorama komi-

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg na str. 3



W styczniu 1945 roku ruszyła znad Wisły ofensywa Armii Radzieckiej, u boku której walczyli też żołnierze Ludowego Wojska Polskiego. Ofensywa ta wniosła wolność umęczonemu okupacją narodowi polskiemu. Przyniosła wolność zniszczonej stolicy. 19 stycznia 1945 roku wojska radzieckie wyzwoliły Łódź. Było to 29 lat temu.

Zawsze w styczniu uroczystie obchodzimy rocznicę wyzwolenia miasta, czcimy pamięć tych, którzy polegali, aby nam przynieść wolność. Czcimy ofiarność tych, którzy walczyli, którzy nie szczędzili swego życia, aby pokonać faszyzm, aby ludziom przynieść spokój i przywrócić radość.

Wydarzenia tamtych dni powoli odchodzą w przeszłość. Stają się historią, której młodzież uczy się w szkole, o której trzeba wiedzieć, bo był to też moment przełomowy, rozpoczynający nową epokę.

Łódź stała się wolna. Miasto nosiło na sobie piętno okupacji. Niemieckie nazwy ulic, napisy, szлды ślady odrywanych hitlerowskich swastyk. Miasto nosiło na sobie piętno minionej epoki. Ludzie cieszyli się wolnością, ale nie wszyscy zdawali sobie sprawę, że jest to nie tylko wyzwolenie spod okupacji, ale również jest to wyzwolenie spod kapitalistycznego ucisku. Rozpoczęła się nowa epoka, która wymagała nie tylko przebudowy społecznej struktury, stworzenia nowej władzy, która zmieniała dotychczasowy system wartości, ale która wymagała też zmiany sposobu myślenia ludzi.

Za kilka miesięcy minie 30 lat od momentu, kiedy ogłoszony został Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Minie 30 lat od chwili, w której narodziła się Polska Ludowa. Trzydzieści lat w dziejach państwa, które liczy sobie przeszło tysiąc lat, to niewielki okres czasu, ale 30 lat w dziejach narodu, który świadomie buduje nowy ustrój — to spory szmat czasu, to okres, któremu warto się uważnie przyjrzeć, aby dobrze poznać wszystko, co się przez ten czas zrobiło i aby w oparciu o tradycje tego czasu móc postępować jeszcze skuteczniej, jeszcze lepiej.

Przypominamy naszą najnowszą historię, aby szukać tam wzorów postaw, wzorów ofiarności i poświęcenia, wzorów twórczego myślenia i postępowania.

Przypominamy najnowsze dzieje Łodzi, wybierając z historii miasta tylko niektóre fragmenty, wycinki, jako że jest to historia bogata. A z bogactwa tego będziemy mieli okazję czerpać jeszcze wielokrotnie.

POWTÓRKA Z HISTORII

Pamięć ludzka jest zawodna. W miarę upływu lat jedne fakty zacierają się, inne nabierają szczególnej ostrości. Pierwsze dni, pierwsze miesiące wolności to dla wielu ludzi fragment ich własnego życia, dla innych już tylko historia wyjęta z podręcznika. Ale najlepszy, najwierniejszy opis historyczny nie odda jednak klimatu i niepowtarzalnego nastroju pamiętnego stycznia 1945 roku. Starano się to odtworzyć we wspomnieniach, ale późniejszy zapis dokonywany z perspektywy krótkiego nawet czasu, nie oddaje tego, co pisana na gorąco informacja, notatka prasowa, reportaż.

Sięgnęliśmy do roczników gazet z tamtego czasu.

Pierwszą łódzką gazetą była „WOLNA ŁÓDŹ”, której pierwszy numer ukazał się 24 stycznia 1945 roku.

Otwieramy pierwszą polską gazetę łódzką. (...) „Wolna Łódź” jest gazetą łódzkiego robotnika i inteligenta, całej pracującej ludności naszego miasta. „Wolna Łódź” gazetą prawdy, gazetą zjednoczonej demokracji...”

„WOLNA ŁÓDŹ” wzywała: „WSZYSTCY DO PRACY!” „ROBOTNICZY DO FABRYKI!”

W trzecim numerze „Wolna Łódź” donosiła:

„TRAMWAJE RUSZYŁY”, „CZTERY KINA JUŻ CZYNNE”.

„W dniu wczorajszym uruchomiono następujące kina, do których wstęp jest bezpłatny.

Kino „Bałtyk” (dawniej „Europa”), „Polonia” (dawniej „Casino”) i „Przedwiośnie” wyświetlają film „Tęcza” według znanej powieści Wandy Wasilewskiej.

Kino „Wolność” (dawniej „Palladium”) wyświetla film o Majdanku. Początek seansów: 12, 2, 4.”

Gazeta wychodziła krótko. Ukazało się jej tylko kilka numerów. Obszerniejsze informacje z Łodzi zamieszczała w tym czasie „RZECZPOSPOLITA”, ukazująca się w Lublinie.

23 stycznia 1945 roku „Rzeczpospolita” pisała: „ŁÓDŹ NIE ZNISZCZONA”.

„Łódź (Polpress). Jak donosi specjalny korespondent Polpressu z Łodzi, miasto ocalało.

Niemcy zaskoczeni szybkim tempem ofensywy nie zdążyli niczego wywieźć: elektrownia, wodociąg i kanalizacja są niekierunkowe. Telefon, telegraf, tramwaje, dworce kolejowe i tory znajdują się w stanie nieuszkodzonym. Wszystkie te przedsiębiorstwa użyteczności publicznej mogą być natychmiast uruchomione. Miasto korzysta ze światła elektrycznego.

Fabryki są niezniszczone i posiadają zapasy surowca oraz gotowych towarów. Robotnicy i pracownicy mogą natychmiast przystąpić do pracy.

W latach 1939—42 Niemcy wywieźli spore urządzenia fabrycznych.

Ludność przyjmuje przedstawicieli władz Rzeczypospolitej z entuzjazmem.”

„Rzeczpospolita” z 26 stycznia 1945 roku przyniosła reportaż Mieczysława Jastruna z Łodzi pt. „Łódź wyzwolona”.

„Ulice przystrojone flagami. Nie ma prawie domu, z którego nie powiewałyby biało-czerwona lub czerwona chorągiew. Pamiętamy, że jesteśmy w robotniczej Łodzi, stolicy polskiego przemysłu i polskiego ruchu robotniczego. Nigdzie nie widać śladów zniszczeń, tylko na Piotrkowskiej dwie kamienice uległy poważnie od najości, wyprzedzając dzień wyzwolenia. Tłumy ludzi płyną, jak niegdyś, ulicą Piotrkowską. Tylko sklepy wszystkie — niemieckie. Szczegółowo jeszcze nad nimi niekiedy napisy niemieckie, w jednej z witryn za kratą żelazną stoi jeszcze bluz „Führer” z idiotycznym uśmiechem na spłódnionych ustach. Wiele szyb wystawowych wybitych. Na kioskach i murach pierwsze odezwy polskie.

Gdy samochód nasz zatrzymał się przed Grand-hotelem, tłum ludzi otacza nas, chcą nowin, domagają się pism. Rozdajemy dzienniki lubelskie, tłum wyłącza po nie ręce z pożądliwością, jakby to były Bóg wie jakie przysmaki. Jest coś głęboko wzruszającego w tym głosie słowa polskiego...”

W dwa dni później „Rzeczpospolita” pisała: „Łódź przystępuje do pracy”, „Zakłady przemysłowe i fabryki mają być uruchomione jeszcze w ciągu

bieżącego miesiąca. Na ulicach widać ożywione grupy ludzi, czytających rozklejone właśnie zarządzenie o obowiązku zgłoszenia się personelu robotniczego i kierowniczego do właściwych zakładów przemysłowych w celu natychmiastowego przystąpienia do pracy...”

„Widzawsza Manufaktura np. została przedstawiona na wytwórczość wojenną, toteż urządzenia są zdekompletowane i uruchomienie jej na właściwym zakresie działania na razie nie jest możliwe. Inne zakłady o niemarzonych maszynach i warsztatach dysponują nieznacznym zasobem surowców — na przeciąg najdalej kilku tygodni. Aby ruszyły, trzeba je zaopatrzyć w węgiel, którego zapasy nie są zbyt duże...”

„Dla zapoznania się z sytuacją gospodarczą i rozwiązaniami trudnych zagadnień, związanych z uruchomieniem przemysłu włączennego, chemicznego i metalowego w pierwszym rzędzie — Rząd wydelegował do Łodzi przedstawicieli Ministerstwa Przemysłu...”

Autorką tej korespondencji była Krystyna Jastrun.

Trwała praca nad odbudową życia miasta. Odbiwały się pierwsze organizacyjne zebrania. „Rzeczpospolita” z 29 stycznia tak o tym informowała:

„Łódź (Polpress). Ekonomiczne grupy operacyjne działające na terenie Łodzi obejmują majątek pozostały po Niemcach w posiadanie Skarbu Państwa...”

Uruchamiane jest sądownictwo, szkolnictwo, jak również instytucje z zakresu ochrony pracy...”

25 stycznia odbyła się pierwsza w Łodzi po jej wyzwoleniu konferencja delegatów fabrycznych, na której ogólny przegląd sytuacji politycznej wygłosił wicepremier ob. Władysław Gomułka, ob. Kazimierz Wiśniewski mówił o jednolitych związkach zawodowych... Zebranie odbyło się w entuzjastycznym nastroju przy licznych udziałach przedstawicieli załóg fabrycznych.

26 stycznia br. odbyło się w Łodzi 6 wieców w różnych punktach miasta, na których przemawiali przedstawiciele władz państwowych, przebiegających w Łodzi oraz delegaci stronnictw politycznych...”

31 stycznia „Rzeczpospolita” opublikowała depeszę Juliana Tuwima do mieszkańców Łodzi:

„Nowy Jork (Polpress). Julian Tuwim wysłał do mieszkańców Łodzi następującą depeszę:

„Pelen łaskoty do mojego umiłowanego miasta rodzimego, wyzwolenego przez bohaterów żołnierzy radzieckich, się łódzianom najserdeczniejsze pozdrowienia. Składam hołd męczennikom, zamordowanym przez niemieckich zbrodniarzy faszystowskich. Uczynie wszystko, by możliwie jak najszybciej znaleźć się wśród was i razem z wa-

Dalszy ciąg na str. 6

POKOLENIE WIELKIEGO ZWROTU

Oglądając się wstecz staramy się ogarnąć we współczesnej perspektywie całokształt naszych osiągnięć świadomości, że w przeszłości to wypadnie nam cenić najbardziej, co przyniosło najowocniejsze skutki. Zwracamy się więc myślą do tamtych czasów jakże trudnego przeciechu startu, kiedy w dobie wojny i okupacji kształtował się i realizował rewolucyjny program walki o wyzwolenie narodowe i społeczne, w oparciu o szeroki front postępowych i antyfaszystowskich sił narodu, wprowadzany w czyn przez polską klasę robotniczą i jej partię. Powracamy do tamtych lat, w których dokonywała się wielka, brzemenna w skutki reorientacja politycznego myślenia Polaków, której ucieleśnieniem stał się sojusz ze Związkiem Radzieckim i polsko-radzieckie braterstwo broni, które miało tak doniosłe znaczenie dla losów naszego kraju.

„U genezy wyzwolenia Polski i jej odrodzenia do niepodległego bytu państwowego — mówiono z trybuny. Pierwszej Krajowej Konferencji PZPR — legły trzy podstawowe czynniki:

- marksistowsko-leninowska, patriotyczna myśl polityczna PPR oraz organizowany przez nią szeroki front walki narodu z okupantem;
- czyn zbrojny odrodzonego ludowego Wojska Polskiego, którego trzydziestolecie niedawno obchodziliśmy;
- zwycięstwo Armii Radzieckiej nad hitleryzmem, sojusz polsko-radziecki, polsko-radzieckie braterstwo broni”.

Polska Ludowa rodziła się jednak nie tylko na froncie walki z hitleryzmem, bowiem trzeba było ogromnego wysiłku, aby zostały przezwyciężone te siły, które zmierzały do restytucji polskiej państwowości w jej przedwojennej, burżuazyjnej postaci. Jeżeli więc w sprzyjających rewolucyjnym przemianom warunkach, wytworzonych przez wyzwo-

lenie ziem polskich ze wschodu, siły rewolucyjnej lewicy zdobyły odnieść ostateczne, decydujące zwycięstwo w walce o nowy charakter polskiej niepodległości, stało się tak również dlatego, że pozyskały dla swego programu szerokie poparcie społeczeństwa, którego nastroje jeszcze w czasie okupacji ulegały wyraźnej radykalizacji. Ze znaczenia tych przemian zdawało sobie dobrze sprawę kierownictwo obozu londyńskiego. Jeszcze w lipcu 1944 roku, w kołach zbliżonych do Naczelnego Wodza w Londynie ludzono się, co dzisiaj zakrawa na absurd, że przynajmniej część ziem polskich zostanie zajęta przez wojska anglosaskie; ekspozytura rządu londyńskiego żywo interesowała się nastrojami prokomunistycznymi i „anarchicznymi”, jak je określano. Mało komu dziś już wiadomo, czemu się zresztą trudno dziwić, jako że fakt nie jest zbyt chwalebny, że w czerwcu 1944 r., w związku z planami przechwycenia władzy, o bóz londyński przygotowując się do stłumienia w zarodku wszelkich ewentualnych ruchów rewolucyjnych nie powstrzymał się przed zaplanowaniem utworzenia specjalnych „obozów odosobnienia”, przeznaczonych dla „elementów wywrotowych, niebezpiecznych dla państwa” i opracowywał nawet wewnętrzne regulaminy tych obozów, o czym świadczy depesza T. Bora-Komorowskiego z 17 czerwca 1944 r. Jeszcze w kwietniu 1943 r. nieznanie bliżej koła polityczne Warszawy, Krakowa i innych wielkich miast opublikowały „Memoriał w sprawie niebezpieczeństwa rewolucji komunistycznej w Polsce”, który publicysta PPR scharakteryzował na łamach „Głosu Warszawy” (Nr 28 z 1943 r.) jako „wezwanie do chwycenia za bratobójczy nóż”. Na radykalizację społeczeństwa i rozwój ruchu komunistycznego oboz londyński odpowiadał zarówno przygotowaniami o charakterze policyjno-

-represyjnym, jak zwłaszcza wzmożoną akcją propagandową, wymierzoną przeciwko PPR jako partii, która mogłaby stanąć na czele rewolucji w Polsce, w której uruchamiał cały bogaty arsenał propagandy antykomunistycznej i antyradykalizacji, którym tak często służyła przed wojną sanacja.

Wszystko to świadczy, jak trudne były warunki, w których PPR podejmowała walkę o narodowe i społeczne wyzwolenie. Sukcesy też nie przyszły od razu, wszak postulat tworzenia Narodowych Komitetów Walki, wysunięty przez PPR w 1942 r., nie spotkał się z szerszym oddźwiękiem i trzeba było z niego zrezygnować. PPR-owska płaszczyzna polityczna wykształcała się powoli, „obejmując stopniowo całokształt spraw i problemów, włączając się bezpośrednio w zagadnienie narodu i państwa polskiego”. podkreśla historyk Cz. Lewandowski. Dopiero sformułowanie płaszczyzny szerokiego demokratycznego frontu narodowego, w oparciu o idee jednolitości klasy robotniczej i sojuszu robotniczo-chłopskiego pozwoliło na zjednoczenie wokół partii sił postępowych i rewolucyjnych; był to program łączący wartości ogólnonarodowe z klasowymi, pozwalający wydobyc siły społecznego radykalizmu.

„Program ten spełniał bardzo istotną funkcję propagandową — pisał współczesny nam historyk partii. — Hasło jednolitości narodowej świadczyło o współbrzmieniu dążeń PPR z powszechnymi odczućmi społeczeństwa polskiego. Szerzone przez peperowską publicystykę budowało i wzmacniało jednolitość moralną narodu. W pracy szkoleniowo-wychowawczej wewnątrz partii uczyło myślenia kategoriąmi narodu i państwa, zmuszało niektórych peperowców do wyjścia poza wąskoklasowy partykularizm i łączenia na bieżąco spraw klasy robotniczej ze sprawami narodu”. Ten

właśnie szeroki charakter politycznej platformy PPR walcie przyczynił się do tego, że zdołała ona skupić wokół siebie siły demokracji i postępu, które udzieliły swego poparcia sformułowanemu przez polskich komunistów programowi socjalistycznej przebudowy Polski, jako optymalnej alternatywie politycznej dla odradzającego się niepodległego państwa polskiego.

Wyzwolenie ziem polskich spod hitlerowskiej okupacji stwarzało nowe, wielkie zadania, otwierając jednocześnie nowy, decydujący etap walki o kształt polskiej rzeczywistości. Oboz burżuazyjny nie myślał zrezygnować z zamiarów przechwycenia władzy w kraju, co więcej, starał się tworzyć na wyzwolonych terenach podporządkowany sobie jej aparat. Nie jest prawdą, jakoby w roku 1944 władza leżała w kraju na ulicy; przeciwnie, trzeba było dopiero stoczyć o nią ostatnią walkę. W wielu miejscowościach natychmiast po wyzwoleniu rozporządzali urzędowanie starostowie, ustanowieni przez delegatury władz londyńskich, nawet w Chełmie, pierwszym wyzwolonym mieście na ziemiach polskich, w budynku magistratu zaistniała się „londyńska” rada miejska, dysponująca własną milicją. Podobnie było w Hrubieszowie, Zamościu, Białej Podlaskiej, Biłgoraju, Krasnymstawie. Poeta Lucjan Szeuwał miedował 8 sierpnia 1944 r.:

„Na terenie Łukowa, Radzyna i okolicznych wsi AK zachowuje się jak pełnoprawny gospodarz. Koncentruje się, zajmuje u chłopów konie. Wydaje rozkazy naczelnikowi milicji”.

Po wyzwoleniu Lublina rozpoczął w nim urzędowanie z ramienia delegatury londyńskiej, jako wojewoda, Michał Cholewa, którego plakaty i ulotki ujęły się pojawiać nie tylko na murach miasta, ale także w innych miejscowościach Lubel-

szczyzny. Z rozlepiętej na murach Lublina ulotki, podpisanej przez „Pełnomocnika na Kraj i Wicepremiera Rządu Rzeczypospolitej Polskiej”, można było wyczytać co następuje: „każdy żołnierz, chłop, robotnik, pracownik umysłowy pamiętać musi o tym, aby nie dał się zastraszyć ani oszukać hasłami, oznakami i słowami najbardziej patriotycznym, używanym podstępnie przez oboz żywoły dla tym łatwiejszego osiągnięcia swych celów. Nikt nie powinien dać się zwieść hasłom dzikiej przebudowy naszego ustroju społeczno-gospodarczego”. Słowa „obce żywioły” i „dzika przebudowa”, jakby żywcem zaczerpnięte, z arsenału propagandowego sanacji, mówią właściwie wszystko o tym, do czego zmierzał oboz londyński. A przecież na wyzwolonych terenach istniały już organy nowej, socjalistycznej władzy, wychodzące z podziemia rady narodowe, działający aparat PKWN, na murach i płotach widniały plakaty z Manifestem PKWN tuż obok ulotek, rozlepianych przez podziemie. Od tego, jak młoda władza ludowa zorganizuje życie w wyzwolonej części kraju, w jaki sposób zdoła przezwyciężyć piętrzące się trudności, zależało wówczas bardzo wiele — przyszłość państwa.

„Złożmy hołd temu pokoleniu, które walczyło o Polskę Ludową i budowało jej podstawy, które w walce tej i pracy nie szczędziło ofiar najwyższych — mówił Edward Gierek na Pierwszej Krajowej Konferencji PZPR. — Było to pokolenie wielkiego zwrotu. Doświadczycie ono gorzkiej rozterek i porażek, ale konsekwentnie i wytrwale szło ku nowej Polsce. Jego udziałem i jego zasługą stało się zwycięstwo”.

LEKTOR

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOŚKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.



Dalszy ciąg ze str. 1

cy". W realizację tej idei zaangażowali się młodzi. „Wyscigi Pracy” ogarnął cały kraj, a narodził się przecież w Łodzi. Nie wszyscy ze starszego pokolenia rozumieli ideę „Wyscigu Pracy”.

— Działali tu stare nawyki i pojęcia.

— Trzeba jednak przecież pamiętać, jaka była Łódź przed wojną. Robotnicy toczyli zaciętą walkę o swoje prawa. Walczyli z właścicielami fabryk, najczęściej obcej narodowości. Pracowali tylko po to, aby mieć z czego żyć. I nagle zmieniły się warunki społeczne. Teraz pracowali dla siebie. Teraz trzeba było pracować wydajniej i lepiej. Pojechali do młodzi, bo nie byli obciążeni starymi przyzwyczajeniami.

— Proces kształtowania świadomości, że ludzie pracują dla siebie, że od tego, jak pracują, zależy ich poziom życia, trwał lata. Ale i dziś zdarzają się jeszcze tacy, którzy lekce sobie ważą pracę, którzy nie rozumieją ogólnonarodowego znaczenia ich działalności zawodowej.

— Na zmianę stosunku do pracy wpłynęło wiele czynników, a przede wszystkim stosunki produkcyjne, w wyniku których zmieniały się warunki pracy. Wprawdzie jeszcze nie wszędzie i nie w takim stopniu, jak byśmy tego sobie życzyli, ale zmiany te zachodzą nieprzerwanie i będą zachodziły w coraz szybszym tempie. Wpłynęła na to działalność propagandowa: prasa, literatura, film, sztuka. Wpłynęły na to również doświadczenia każdego z nas, doświadczenia z działalności politycznej, społecznej, w toku których rośnie odpowiedzialność obywatela za to wszystko, co się wokół niego dzieje.

Gdybym więc miał odpowiedzieć na pytanie: jak obecnie pracują łodzianie, to odpowiedziałbym, że pracują bardzo dobrze. Nie znaczy to, że nie zdarzają się bumelanci, leniuchy, obiboki. Ale tacy trafiają się zawsze. Nie oni decydują o rezultatach naszych osiągnięć, nie oni nadają ton społeczeństwu. I nie powinniśmy godzić się na ich tolerowanie.

Jestem przekonany, że to, co jest wspólne w sposobie myślenia łodzian sprzed 29 laty i łodzian współczesnych, to ich umiłowanie miasta, patriotyzm i zaangażowanie w jego rozwój.

— A co różni?

— Myślę, że rozmach. Łódź była miastem nie zniszczonym. W pierwszych latach Polski Ludowej chodziło o wykorzystanie tych możliwości, jakie tkwiły w tutejszym przemysle. Z tego — jak już wspominałem — narodził się „Wyscigi Pracy”. Dziś stawiamy sobie inne zadania. Oczywiście, że nadal powinniśmy dążyć do tego, aby pracować coraz lepiej i wydajniej. Ale też, aby to osiągnąć, musimy przebudować i miasto i jego przemysł. Dlatego musimy na Łódź patrzeć inaczej. Musimy odwoływać się do wyobraźni, szukać coraz nowszych rozwiązań. Nie możemy zadowalać się tym, co osiągnęliśmy. Powinien nas cechować twórczy niepokój.

I te cechy są coraz twórczej niższe w naszym sposobie myślenia. Sądzę, że również coraz powszechniej staje się poczucie współodpowiedzialności za to wszystko, co w Łodzi wspólnie robimy. Uważam, że związek z miastem, poczucie więzi z jego mieszkańcami wynikają nie tylko z faktu, że ktoś tu się urodził, że tu mieszka ileś tam lat, ale przede wszystkim z tego, że czuje się odpowiedzialny za rozwój swego miasta, że dąży do tego, aby była to współodpowiedzialność nie tylko w słowach, ale i w codziennej pracy, również w społecznej działalności.

— Dlatego może coraz częściej jesteśmy niezadowoleni ze stwierdzenia, że „Łódź jest drugim miastem w kraju pod względem wielkości”.

— Takie stwierdzenie może być powodem do dumy, ale zgadzam się, że o randze i znaczeniu Łodzi w kra-

BOGACI ŚWIADOMOŚCIĄ dokonanych przemian

ju decyduje nie tylko liczba jego mieszkańców.

— Mamy i inne powody do dumy.

— Choćby to, że dajemy wcale niebagatelnej produkcji na potrzeby rynku krajowego i zagranicznego, że zaopatrujemy kraj w wiele artykułów codziennego użytku. Powstają tu maszyny poszukiwane przez wiele fabryk. Istotne w tym jest to, że dajemy krajowi produkcję coraz wyższej jakości i że troska o jakość staje się naszym naczelnym zadaniem. Godne uznania jest też dążenie do wprowadzania do produkcji coraz to nowocześniejszych wyrobów, o coraz wyższym standardzie. O randze miasta decydują również inne czynniki.

— Na przykład nauka i kultura.

— Tak, to miałem na myśli. Mamy tu niemałe osiągnięcia. Na przykład wyższe uczelnie, które doskonałą swoją działalność naukową i dydaktyczną i coraz bardziej wiążą z życiem gospodarczym i społecznym miasta. Myślę też o środowiskach twórczych, które zanotowały na swoim koncie wiele ciekawych prac. Na wyróżnienie zasługują środowiska: teatralne, literackie, muzyczne oraz plastyczne, które coraz efektywniej współpracują z naszym przemysłem. Wśród tegorocznych laureatów nagrody miasta Łodzi znalazł się zespół plastyków projektantów przemysłowych.

Na rozwój miasta składa się więc twórczy wysiłek wszystkich, nie tylko pokoleń i środowisk. Z niego rodzi się wiele cennych inicjatyw społecznych i politycznych, które zyskały uznanie i zastosowanie w kraju. Tu ukształtowała się praktyka pracy partyjnej w miejscu zamieszkania. Tu rozwijał się samorząd mieszkańców. Tu duża skutecznością wprowadzamy społecznie użyteczną pracę fizyczną w szkołach. Widzimy bowiem w tym ogromny walor wychowawczy. I mam nadzieję, że jeszcze niejedna inicjatywa niechże się w Łodzi.

— Niezadowolenie niekiedy może być czynnikiem twórczym, zmusza wówczas do szukania lepszych rozwiązań, do tego, aby robić jeszcze lepiej.

— Powinniśmy przede wszystkim nie zapominać o tym, jaka była Łódź, jak się rodziła i jaka staje się dziś. Przypomnę tylko, że Łódź nazywano „złym miastem”, „brzydkim miastem”, a przecież dziś jest ona inna i myślę, że może się podobać. Budujemy już nowe dzielnice nie tylko na obrzeżach miasta, ale coraz mocniej wkraczamy w śródmieście. Czy jeszcze tak szybko i zdecydowanie, jak byśmy chcieli? Nie.

Trzeba też pamiętać, że już połowa mieszkańców Łodzi przeniosła się do nowych domów, że rozwiązaliśmy problem wody dla ludzi i przemysłu, że bierzemy się do rozwiązywania spraw komunikacji, przebudowując drogi.

Zgadza się jednak, że nie wszystko jeszcze zrobiliśmy, że jeszcze nie czeka na rozwiązanie, że jeszcze nie zawsze postępujemy tak szybko i zdecydowanie, jak byśmy nawet sami tego chcieli. Rozumiem, że ludzie mają różne powody do narzekania i niezadowolienia. To niezadowolenie może być zarówno twórcze, jak i nie-raz demobilizujące.

— Wszystko zależy od tego, czemu ono służy.

— Prosty przykład. Społeczeństwo ostro ocenia pracę budowlanych. Słusznie, bo jest to jeden z najważ-

niejszych problemów naszych dni. Budownictwo — to wynik pracy projektantów, techników, inżynierów, monterów, tynkarzy, stolarzy i malarzy. Brakorobstwo powstające na jednym z odcinków staje się podstawą krytycznych uogólnień, krzywdzących też ludzi dobrze pracujących. Taka ogólna krytyka nie może spełniać pozytywnej roli.

— Następuje więc rozłożenie odpowiedzialności za złą pracę na wszystkich, ale też i odpowiedzialni bardzo często starają się pozostać anonimowymi, bo to łatwiej, kiedy winni są wszyscy a nie tylko ten, kto zawinił naprawdę. Poza tym dziś coraz powszechniejsza staje się praca w zespołach i jeden brakorob może skutecznie zepsuć opinię kolektywu, usunąć w cień ludzi dobrze pracujących.

— To też trzeba stale ukazywać tych, którzy pracują dobrze i piętnować tych, którzy pracują źle, krytykować ich konkretnie, z adresem.

Muszę powiedzieć, że prasa, radio i telewizja robią to coraz skuteczniej i coraz lepiej. Spotykam się nawet czasem z opinią, że robią to zbyt jednostronnie, że powstaje czarny obraz naszej rzeczywistości. Myślę, że jest to opinia przesadzona. Jeśli krytyczna ocena naszej pracy powstaje z twórczego niezadowolenia, z przekonania, że można zrobić lepiej, że można skuteczniej przezwyciężyć braki i niedomagania, to taka krytyka jest potrzebna i musi być wzięta pod uwagę. Przecież w pracach Rady Narodowej bardzo szeroko korzystamy z uwagi i krytycznych ocen, które wskazują, że można postępować inaczej, lepiej, z większą perspektywą. Uważne wysłuchiwanie krytycznych uwag, płynących od społeczeństwa, pozwala nam nie tylko skutecznie działać, ale stanowi też ważny element kształtowania współodpowiedzialności obywateli za nasz dzień powszedni, za naszą codzienną pracę, za naszą przyszłość.

— Czy my jednak nie za mało pokazujemy ludzi twórczych postaw, ludzi z inicjatywami, słowem — ludzi dobrej pracy?

— Każdy człowiek chciałby znać ocenę efektów swojej pracy, a także pracy zespołu, w którym pracuje. To daje ludziom zadowolenie. Ludzie dążą do tego, aby ich wysiłek znalazł społeczną ocenę. I dlatego trzeba pokazywać tych, którzy dobrze pracują. Stanowią oni przecież przykład godny naśladowania.

Czy robimy to już w sposób dobry, dostatecznie szeroko? Szukamy różnych sposobów nagradzania i wyróżniania najlepszych. Wydział Propagandy i Agitacji Komitetu Łódzkiego ogłosił pierwszy konkurs na rozwój propagandy wizualnej w zakładach pracy. To pomogło w znalezieniu nowych form upowszechniania twórczych postaw. Trzeba szukać dalszych, coraz to nowszych i bardziej skutecznych. Ale trzeba też nie zapominać o tych, którzy nam przeszkadzają, ciągną wstecz. Pokazywanie ludzi źle pracujących też ma walory wychowawcze, a przede wszystkim przeciwdziała się krzywdzącemu i demobilizującemu uogólnianiu. A to jest również ważne jak pokazywanie ludzi dobrych, ofiarnych, pracowitych.

Trzeba kształtować w społeczeństwie przekonanie, że praca w zespole stanowi nie okazję do zrzucenia z siebie odpowiedzialności, a przeci-

nie — jest zobowiązująca do odpowiedzialności za cały zespół.

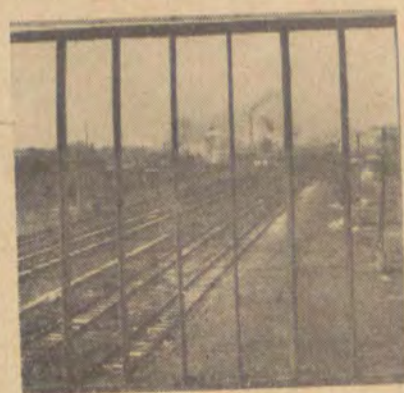
— Wiele jeszcze musi się zmienić w naszym społecznym sposobie myślenia.

— Bez tych zmian nie osiągniemy tak ambitnych celów, jakie stawiamy przed sobą. W procesie tych przemian widzę też wielką rolę prasy, radia i telewizji. Uważam, że po zwiększeniu objętości łódzkiej gazety znacznie podniosły swój poziom. Ale też zespoły redakcyjne otrzymując większe możliwości działania, przyjęły na siebie wyższe zobowiązania — skuteczniejszego oddziaływania na społeczeństwo, kształtowania twórczych postaw, zwalczania wszystkiego tego, co przeszkadza nam w pracy, w naszym rozwoju. Nasza publicystyka powinna być bardziej wnikliwa, głębsza! Trzeba też bardziej zacieśniać więzi z czytelnikami, audytoriami: radiową i telewizyjną, dla tych, którzy mają coś istotnego do powiedzenia o naszych sprawach, mogą wniesić coś nowego, zgłosić interesujące uwagi i propozycje.

Spraw jest oczywiście bardzo dużo. Ale chciałbym zwrócić uwagę na jedną. Dokonaliśmy zrównania w socjalnych prawach pracowników fizycznych i umysłowych. Nie może być inaczej w socjalistycznym społeczeństwie. Ale niektórzy zrozumieli to jako okazję do ułatwiania sobie życia kosztem innych. I tym tendencjom trzeba się przeciwstawiać. Również na łamach gazet.

— Program Rozwoju i Modernizacji Łodzi daje nam wielką szansę nie tylko przebudowania miasta, ale też zmienienia sposobu myślenia społeczeństwa. Proces ten dokonuje się stale. Ludzie coraz częściej przekonują się, że zajmowanie się drobiazgami przesłania perspektywę, że chcąc zrozumieć współczesność, trzeba również myśleć o przyszłości, o celach, jakie postawiliśmy przed sobą.

— Jest to podstawowy warunek twórczego myślenia, a takie jest nam niezbędne. Uczymy się takiego myślenia i uczymy tego całe społeczeństwo. I gdyby teraz pokusić się o sprecyzowanie odpowiedzi na pytanie, jakie zmiany zaszły w ciągu 30 lat Polski Ludowej w sposobie myślenia łodzian, to trzeba by chyba było powiedzieć, że na początku naszej współczesności uczuliśmy się być gospodarzami i przyswoiliśmy sobie tę świadomość, że wczorajszą własność kapitalistyczna stała się własnością społeczną. Gospodarząc dziś myślimy, jak twórczo dalej rozwijać naszą socjalistyczną ojczyznę. Czujemy się już odpowiedzialni za naszą przyszłość. Jest to ważny dorobek naszych 30 lat. Stał się on podstawą naszych osiągnięć w gospodarce, życiu kulturalnym i społecznym. Jest to sukces naszej ideologii, sukces, który zobowiązuje do dalszego przekształcania świadomości społecznej, do zwiększenia wysiłków w kształtowaniu socjalistycznego społeczeństwa.



Dalszy ciąg ze str. 1

nów fabrycznych (niektóre już dymyły), prawie nie zniszczone dworce kolejowe, czynne elektrownia i wodociąg, kursujące tramwaje, ruch na ulicach... Ludzie ubrani biednie, ale w nastroju świątecznym, flagi połączające białe-czerwone pasy z każdego domu. Ta „galówka flag”, której Polacy pozbawieni byli przez przeszło pięć lat hitlerowskiej okupacji, utrzymywała się jeszcze chyba do końca 1945 r.

Łódź była prawie nie zniszczona. Ofensywa styczniowa zaskoczyła Niemców w trakcie „urzędowania”; przeszkodzono w planach wysiedlenia fabryk i zakładów użyteczności publicznej, wywiezienia maszyn i innych urządzeń przemysłowych, zdobytą trochę zapasów żywności, materiałów tekstylnych itd. Wszystko to było bardzo pocieszające, ale jednocześnie trzeba się było liczyć z tym, że te „trofea” nie starczą na długo. Miasto było przeludnione, poza tym poczęto przenosić tu z Lublina szereg centralnych urzędów i instytucji.

(...) Zawsze z rozrzuconiem wspominałem mój okres łódzki. Zagadnienia polityczne, sprawy gospodarcze podlegające mi województwa wciągały mnie bez reszty. Po długoletniej okupacji można było pracować na całego, mając jasno wytykany cel.

Cel był jasno wytykany — rozpoczęło się pracownictwo, uparte dążenie do stworzenia normalnego życia miasta i kraju. Przybywali tu ludzie zewsząd — czasem z bardzo daleka, jak ten chłopak, który prosto z repatriacyjnej ciepłuszki trafił ze swoim młodzieńczym wierszem do redakcji organu PPR „Głos Ludu”.

Wspomina WIKTOR WOROSZYŃSKI:

„W wiele lat później spotkałem mojego pierwszego redaktora w Warszawie, na jakiejś półprywatnej rocznicowej uroczystości. Był tegi, siwy i w nikim nie budził tego nabożnego drżenia, co niegdyś we mnie. Traćliśmy się kiłszkami, zaczął coś do mnie mówić, serdecznie, bez dystansu — naraz uświadomiłem sobie, że mówi per ty i oczekuje, że podejmę tę koleżeńską formę. Nie przechodziła mi przez gardło. Dawno już miałem za sobą bruderszafty z ludźmi starszymi i sławniejszymi od niego, z pisarzami, artystami i uczonymi — i przy całym poczuciu, że są ode mnie o tyle więksi, z żadnym nie odczuwałem tego rodzaju skrepowania, co teraz z tym człowiekiem, traktującym mnie jak kolegę, a w którym ja, zamieniony znowu w nieśmiałego chłopca z prowincji, ścisnącego w spoconej dłoni debiutancki wierszyk, ciągle widziałem swojego pierwszego szefa.

Skończyło to, co pisać, ma być czymś w rodzaju dokumentacji okresu, nie wolno mi chyba przemilczeć nazwisk. Człowiek, o którym wspominałem, to Edward Uzdowski, ówczesny sekretarz redakcji „Głosu Ludu”. Redaktora naczelnego, Romana Werla, widywało się rzadziej i z większej odległości — był on chyba raczej ideologiem zespołu niż jego codziennym organizatorem. Funkcję zastępcy redaktora naczelnego pełnił uroczy Szeszys Dobrowolski — łagodny, mądry, trochę nie z tego świata. Działalem, w którym pracowałem, kierowała Iza Bychowska, a pod bezpośrednią opiekę wzięła mnie Ludka Skulska; w jej towarzystwie odbywałem pierwsze wyprawy do łódzkich fabryk, biorąc pogładowe lekcje, jak się robi reportaż. Wyliczę jeszcze kilku członków zespołu: Andrzej Piwowarczyk, Edward Drozdowicz, Seweryn Pollak — pierwszy żywy poeta, którego poznałem osobiście, wreszcie moi o parę lat starsi koledzy-praktykanci. Tadeusz Nowak (nie ten z Krakowa) i podporucznik AL Rysiek Klimczak.

(...) Urwę tutaj wątek redakcyjny, do którego jeszcze powrócę, i — ryzykując chaotyczność relacji — podam także nazwiska sekretarzy KD, którzy mnie przyjęli do partii, bo dalej już na pewno nie będzie po temu okazji. Pierwszy sekretarz nazywał się Głazewski — nigdy się już z nim nie zetknąłem — a drugi, ten, który podpisał mi wprowadzenie — Jerzy Szymczak — jego spotkałem jeszcze paró-



Fot. W. Parys

Dalszy ciąg na str. 4



Dalszy ciąg ze str. 3

krótkie, ale ostatni raz chyba z dziesięć lat temu, więc również nie wiem, co się z nim dzieje. Wpisuję te nazwiska nie tylko z formalnego obowiązku dokumentalisty. Myślę, że nie jest tak zupełnie nieważne, kto w tych pierwszych miesiącach Polski Ludowej był partią — i jako partia (a jednocześnie jako zarowany, nie dojadający, narażający życie człowiek) umiał zdobyć się na gest zaufania wobec nieznanego chłopca, z naiwną zachwytową ciekawością pytającego o komunizm. Myślę, że ci ludzie umieli się zdobyć i na inne rzeczy, o których się temu chłopcu nie śniło. Żałuję, że poza podaniem nazwisk nie potrafię o nich powiedzieć nic więcej i że bohaterem moim musi pozostać tylko ten chłopiec.

Ale prawdziwym behalterem wszystkich wspomnień z pierwszych dni wolności jest miasto i ludzie. Ludzie, którzy reaktywali teatry, szkoły, muzea.

Wspomina MARIAN MINICH:

„Gdy po warszawskich latach okupacji wróciłem w początkach 1945 roku do Łodzi z matką, chorą żoną, córką i niebezpiecznie ranym synem — zastałem w Muzeum resztkę dawnych zbiorów sztuki, a przy ulicy Perla mieszkanie ogolone dokładnie przez okolicznych rodaków. Przepadł cały mój warsztat pracy i dorobek naukowy lat przedwojennych. Zupełnie przypadkowo większość materiałów do monografii o Andrzej Grabowskim, wybitnym portreciście drugiej połowy XIX wieku, uratowała pani mgr Halina Koszańska. Przez wybite okna wpadał lutowy śnieg i tworzył we wnętrzu maleńkie zasy. Wybiegłem salki gmachu przy placu Wolności 14, dawnej siedziby Zarządu Miejskiego gdzie Niemcy beztępienie stłoczyli resztki dzieł sztuki, a również i eksponaty z prehistorii i etnografii, przedstawiały obraz nędzy i rozpaczy.

(...) Trzeba więc było tworzyć placówkę na nowo. Z przedwojennego personelu Muzeum Bartoszewiczów nikt jeszcze do Łodzi nie wrócił. Przy pomocy asystentki mgr Haliny Koszańskiej, sztukiatora Franciszka Kotlińskiego i kilku woźnych z Muzeum Etnograficznego doprowadziłem szybko do porządku wnętrze gmachu przy placu Wolności 14. Wreszcie pojawili się kolejni i pomagali mi w pracy starzy i nowo zaangażowani pracownicy naukowcy i administracyjni. W pierwszych dniach marca wróciła z tułaczki Janina Nowakowska, Adama Szmyta wyciągnąłem z rzeźni miejskiej. W połowie maja tegoż roku zaangażowałem na stanowisko kustosa znanego literata i krytyka sztuki Romana Zrębiewicza. Zjawił się w cienkim, wytartym palto, który ocalał z warszawskiego powstania. W czerwcu wybitny konserwator-mechanik Jan Marksen zorganizował pracownię restauratorsko-konserwatorską i pracownię fotograficzną; głównie dzięki pomocy Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków.

(...) Wojewódzki Wydział Kultury przekazał Muzeum sporą liczbę nasyżych przedwojennych obrazów, których Niemcy nie zdążyli wywieźć, a także dzieł sztuki zabezpieczonych po parcelacji majątków ziemskich. Duże zasługi położył tu artysta malarz Chwałisław Zieliński, który pełnił w tym czasie obowiązki konserwatora wojewódzkiego.

(...) Wreszcie redaktor Henryk Rudnicki, ówczesny sekretarz Dzielnicę PPR Bałuty, zabezpieczył dla nas poprzez Milicję Obywatelską wartościowy zbiór zabytków chińskich i japońskich, a także kilka dobrych obrazów, znajdujących się w byłym pałacu barona Heinla.

Do Łodzi zjechał Teatr Wojska Polskiego i jako m. p. wybrał ulicę Cegielińską (dziś ul. Jaracza). Miasto mimo pozorów normalności nie było jeszcze spokojne. Jeszcze nocą trząskali karabinami na przedmieściach...

Wspomina JERZY WALDEN:

„Dziwny był ten nasz pobyt w Łodzi. W dzień chodziliśmy po ulicy Piotrkowskiej, wstępowałyśmy do rojnych kawiarni i restauracji. Wieczorem graliśmy w normalnym tea-

Dalszy ciąg na str. 6

Autobus linii 69 przecina nieszkalaną, ustabilizowaną część Dąbrowy i ominąwszy swą niedawną krawcówkę toczy się dalej na wschód. Jedzie wzdłuż murów gigantycznej fabryki domów, a potem podąża w kierunku torów kolejowych z rozklekotanym przejazdem, za którym jeszcze rok, dwa lata temu panowały się pola uprawne i przedmiejskie domy z ogródkami. Ten sielski pejzaż ustąpił miejsca krajobrazowi przemysłowemu, dźwięgom budowlanych, wywrotkom z piaskiem i żwirem. Cały wschód Dąbrowy okupują sięgające pod Jędrzejów nowe fabryki czekające na rozruch. Tylko w jednej z nich huczą już maszyny i samochody PKS zabierają z zakładowych magazynów gotową partię towaru. To uruchomiony 7 listopada ubiegłego roku POLANIL.

Drogę do fabryki wskazuje kamienny motek przydrożny umieszczony na jasnym cokole. W hallu biurowca przenika do nozdrzy słodkawy zapach nie obeszłej farby. Ekipy malarskie wciąż jeszcze znajdują dla siebie zajęcie, chociaż na półpiętrach noga przybysza depta dywan, a wzrok błądzi po barwnych ściennych mozaikach. Stabilizacja miesza się z improwizacją, ze świeżego tynku wystają obnażone przewody telefoniczne. Ale

przestronnych, czystych mieszkań, ogólnego pokoju jadalni, palarni, kabiny natryskowej. W tym spleciu socjalnym widzą nową myśl polityczną, myśl lat siedemdziesiątych. A przede wszystkim w innej części budynku spotkam jeszcze imponującą salę widowiskową, gustowną stołówkę przypominającą swym wystrojem zakład gastronomiczny wysokiej kategorii, pomieszczenia klubowe i biblioteczne, pokoje konferencyjne.

Także hale produkcyjne wskazują, że przemysł włókienniczy przestał być przysłowiowym kopciuszkim. Uderza w nich przestrzeń i barwy. Pełna klimatyzacja. Zarazem okazuje się, że powielona informacja może wprowadzić w błąd. Budynek jest wprawdzie bezokienkowy, ale każda hala posiada szklaną ścianę z widokiem na otwartą przestrzeń.

Mówią mi potem pracownicy, że bał się tego braku okien. Niby to mało ważne przy funkcjonalnym, dobrze rozwiązany oświetleniu, ale człowiek tęskni do otwartej przestrzeni. Więc żeby choć, jak w starych fabrykach, okno w dachu, przez które można dostrzec kawałek nieba. Wszystko, byle nie bunkier. I kiedy zobaczyli te ściany ze szkła, niektórzy kobiety rozplakały się z radości.

Inż. Woźniakowski prezentuje mi automaty włoskie, francuskie, zachodniemieckie. W hałasie pracujących maszyn ledwie rozumiem techniczne objaśnienia. Błyskawicą czerwone lampki. To znak, że któraś z maszyn stanęła. Ale już po chwili znów podejmuje pracę.

Kiedy się widzi ten rozmach, trudno uwierzyć, że budowa zakładu trwała trochę więcej niż 30 miesięcy. Drukowana informacja ujmuje spr-

awierzonego kofa. Wzięto się to w czasie podłączeniem budowy do miejskiej sieci wodociągowej i kanalizacyjnej.

Ten etap budowy doskonale zapamiętał kierownik wydziału przedziału Aleksander Strzelczyk.

— Jak to było? Dużo widziałem, bo pracuję we włókiennictwie 25 lat, ale na taki widok nie byłem przygotowany.

Był początek 1972 kiedy Aleksander Strzelczyk wszedł na halę produkcyjną ze swymi mistrzami Kazimierzem Michałakiem i Henrykiem Woźniakiem. Dach już był, ale ściany jeszcze nie było. Na hali uwiły się traktory i spychacze. Na rozmiętej glinie stały kosze z rozżarzonym koksem, od których ludzi grzały zgrabiłe dłonie. Strzelczyk ubrany w wacik ruszył ich śladem. Nie doszedł. Noga zapadła się w gliniastej mazi. Wyciągnął nogę z błota i stwierdził, że jest bos. Gumiaka nigdy nie odnalazł.

A już w grudniu 1972 w hali zajętej przez budowlanych zaczęto montować pierwsze przedziałki z „Wifamy”, jedyne polskie maszyny, które wytrzymały w „Polanilu” zagraniczną konkurencję. Stopniowo przybywało pracowników przedziałki, przy montażu, rozruchu i myciu maszyn pracowały nawet kobiety: Alicja Stańczak, Helena Nowak, Krystyna Kamińska, Zofia Pietrzyk. Znalazli się tu wszyscy, bo choć fabryka była nowa, najbardziej doświadczeni pracownicy wywodzili się z zakładów im. Świerczewskiego, gdzie niejedną rok przepracowali na tej samej hali.

— Na moim wydziale — dodaje Strzelczyk — mam w trzech czwar-

leką i puszystą zaczęły wypełniać magazyny. Nie brakowało perturbacji, bo nie wszyscy mieli rozumienie dla nowych maszyn, ale produkcja zaczęła rozkręcać się na dobre.

O rozmiarach tej produkcji niech przemówią liczby. W roku 1973 „Polanil” wyprodukował 210 ton przędzy anilanowej. 86 ton z tej produkcji trafiło już do odbiorców.

Z Janem Sońtą, sekretarzem KZ PZPR reporter rozmawia o perspektywach zakładu. Siedzi w pomieszczeniu zastępczym, bo w lokalu komitetu jeszcze nie wyschła farba, ale i w tym jest urok okresu pionierskiego.

Jan Sońta pracuje w „Polanilu” od niedawna, ale problemy zakładu zna dobrze. Piszę „od niedawna”, gdyż Sońta nie pracował w zakładach im. Świerczewskiego, z których wywodzi się 60 procent załogi. Pozostali przyszl tu z różnych fabryk, 5 procent stanowią ludzie młodzi, którzy po raz pierwszy podjęli pracę w przemyśle.

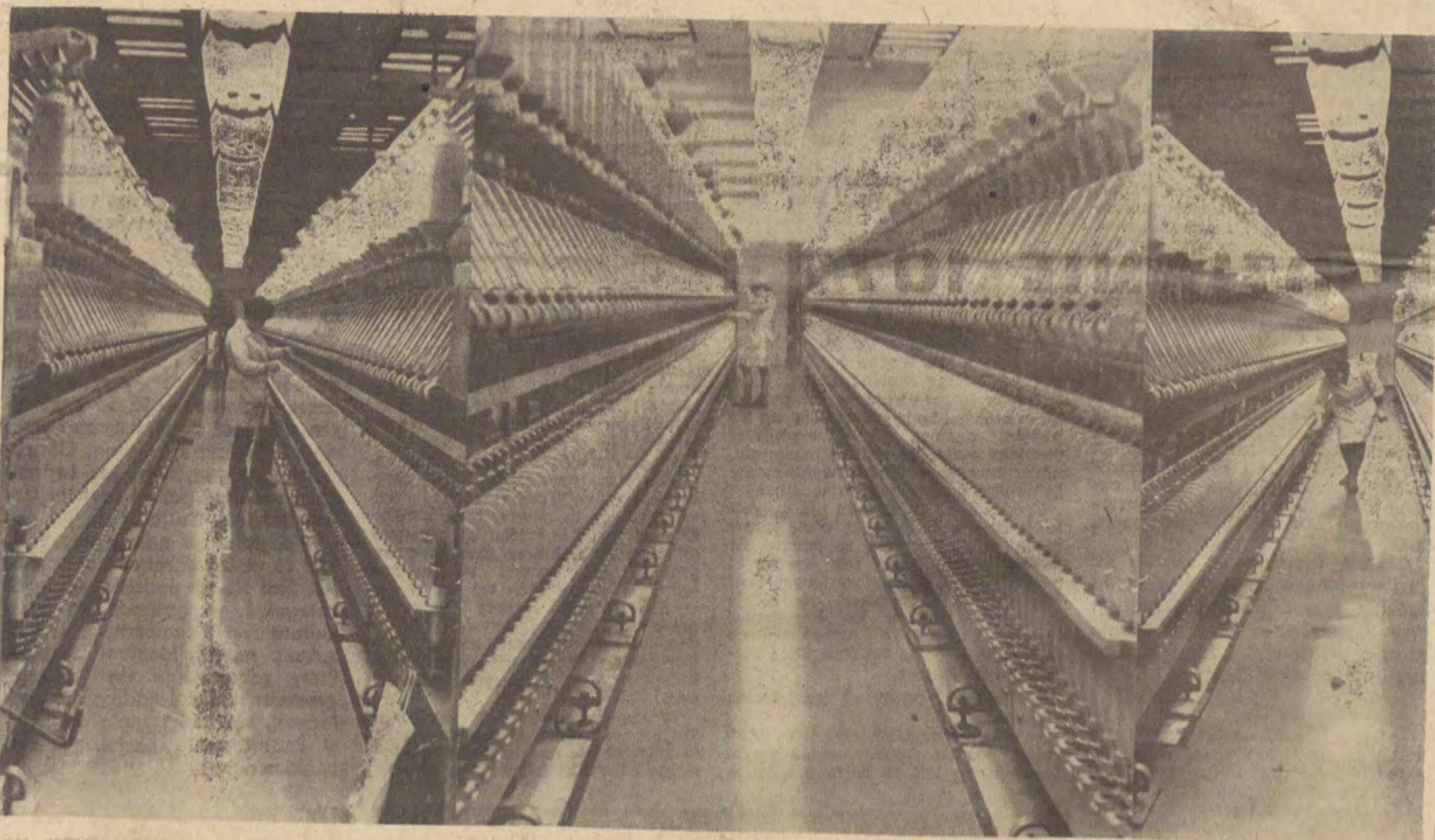
— U nas — informuje Jan Sońta — po raz pierwszy w przemyśle lekkim system placowy oparty został o akord zbiorowy.

Ten system wymaga pełnego dotarcia się ludzi, toteż potrzebne jest długofalowe działanie wychowawcze, co stawia poważne zadania przed organizacją partyjną. Jest ona także nowa, podobnie jak zakład.

Nowe stwarza problemy przed ludźmi. Trzeba poznać ten skomplikowany park maszynowy, związać ludzi emocjonalnie z zakładem. A czasu jest niewiele. Najważniejszym zadaniem jest szybkie dojście do projektowanej mocy produkcyjnej. Pierwotnie prze-

KONRAD FREJDLIH

DALEKO OD CENTRUM



Fot. W. Parys

centrala telefoniczna czynna jest już od tygodnia.

Zanim kierownik produkcji „Polanilu” inż. Piotr Woźniakowski oprowadzi nas po zakładzie zaufajmy informacji specjalnego, powielonego biuletynu. Wynika z niej, że ta przedziałka czesankowej anilany wybudowana na Dąbrowie jest oparta o najnowocześniejszą technologię światową i wyposażona w najnowsze maszyny zagraniczne. Ciąg agregatów pozwala zastosować skrócony, bezczesankowy system produkcji przy czesankowej, przy czym jej barwienie odbywa się metodą ciągłą, wszystkie urządzenia cechuje wysoki stopień automatyzacji, dotyczy to także transportu w ciągach z maszyn na maszynę, a surowcem jest anilanowy kabel.

Spróbujmy przełożyć te techniczne dane na język bardziej zrozumiały. Inż. Woźniakowski prowadzi mnie z biurowca długim, tunelowym przejściem do części produkcyjnej. Mimochodem zachodźmy do

wę sucho: rozpoczęcie budowy 1.IV. 1971 r. Dyrektor Edmund Landysz-kowski powiada — Tak, nie ma pomysłki.

Byliśmy pionierami na Dąbrowie. Po prostu pewnego dnia znaleźliśmy się na nie uzbrojonym polu za torem, trzeba było wykonać wszystko od podstaw. Nawet energię elektryczną trzeba było doprowadzić.

Jak to wyglądało? Tu, gdzie dziś stanął zakład rozciągały się ziemie orne i szesć zagrod. Teren pod budowę trudny, gliniasty, trzęsł nawet niwelacja nie przebiegała łatwo. Wprawdzie nie natrafiano na wodę podskórna, ale po lada deszczu tworzyły się najprawdziwsze gliniaki. W okresie suszy nad budową unosiły się tumany gliniastego pyłu.

Dopiero wtedy przystąpiono do budowy kotłowni. To był także etap niezbędny: uzyskanie własnej pary, bo magistrala ciepła z miasta tutaj nie dochodzi. Na przełomie roku 1972 i 1973 uzyskano parę

tych więc ze starych zakładów, a kadra mistrzowska przeszła do mnie w całości.

Montaż maszyn odbywał się podczas prac budowlanych i w asyście budowlarzy uruchomiono pierwszą produkcję. Nie chcieli czekać bezczynnie. Pracownicy same sprzątały szatnie, myły okna, szorowały podłogi. A podłogi liczy się tutaj na hektary. „E, co tam, robimy to przecież dla siebie”.

— Może należało poczekać, aż wszystko uprzątną sami budowlarze. Ale ludzie nie chcieli czekać i sprzątałi. Miało to swoje dobre strony — dodaje Strzelczyk — bo po tym wysiłku, każdy szanuje porządek i dziś czystość jest taka jak przy otwarciu.

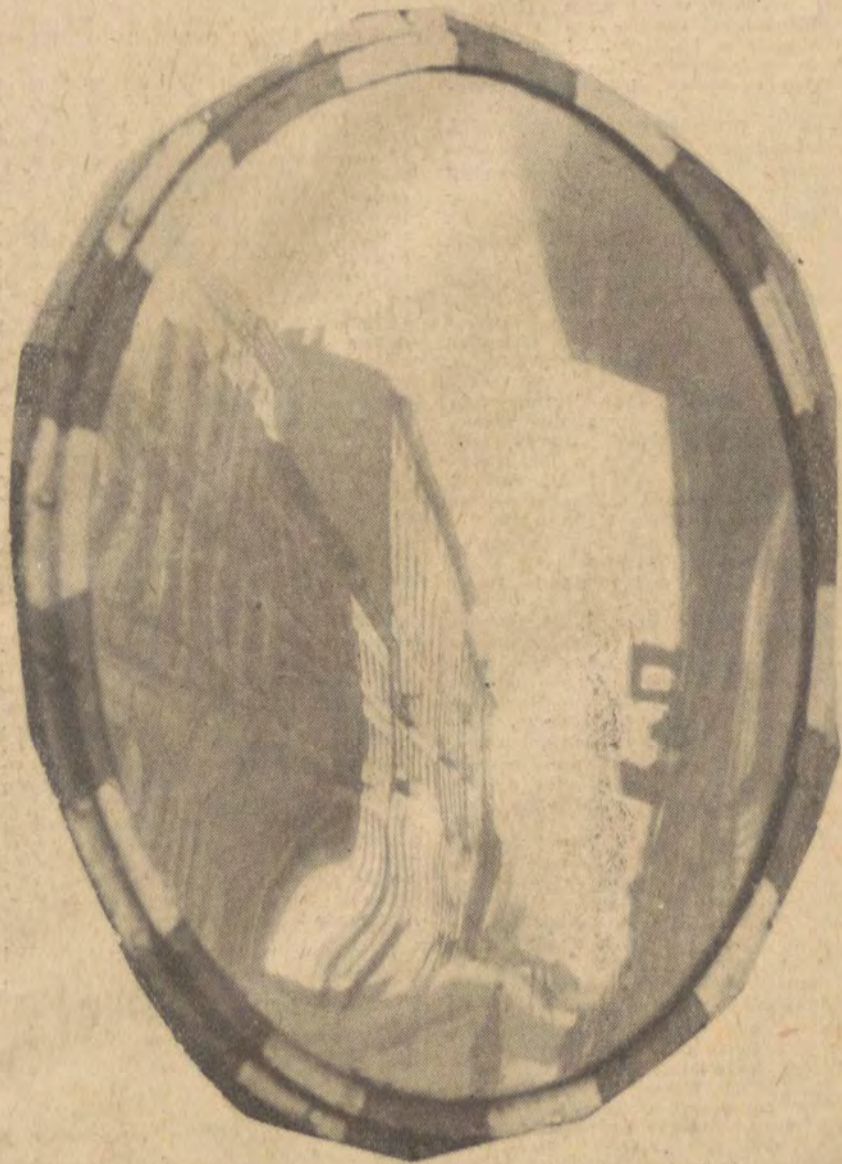
22 lipca ub.r. zakłady dały pierwsze metry przędzy anilanowej. Ale oficjalne otwarcie nastąpiło dopiero 7 listopada. Zaczęli liczyć przędzę już nie na metry, lecz na tony. Metki z przędzy, szczególnie poszukiwana, bo

widywano, że nastąpi to w październiku, ale ktoś rzucił myśl, żeby termin ten skrócić i to bardzo poważnie.

— Na ten temat będziemy radzić na najbliższym posiedzeniu egzekutywy.

Trzeba życzyć załozce „Polanilu” sukcesu w tych zamierzeniach, które dowiodą nie tylko stabilizacji produkcyjnej. Mając ludzi tak ofiarnych jak Aleksander Strzelczyk można się porwać na najambitniejsze.

Ale kiedy autobusem 69 odjeżdżałem do miasta uprzedziłem sobie po raz wtóry, jak daleko „Polanil” położony jest od centrum. Dlatego powtarzam pytanie, które załawał mi wielu pracowników zakładu: czy MPK rzeczywiście nie może uruchomić autobusowej linii pośpiesznej łączącej rejon Dąbrowy przemysłowej ze śródmieściem?

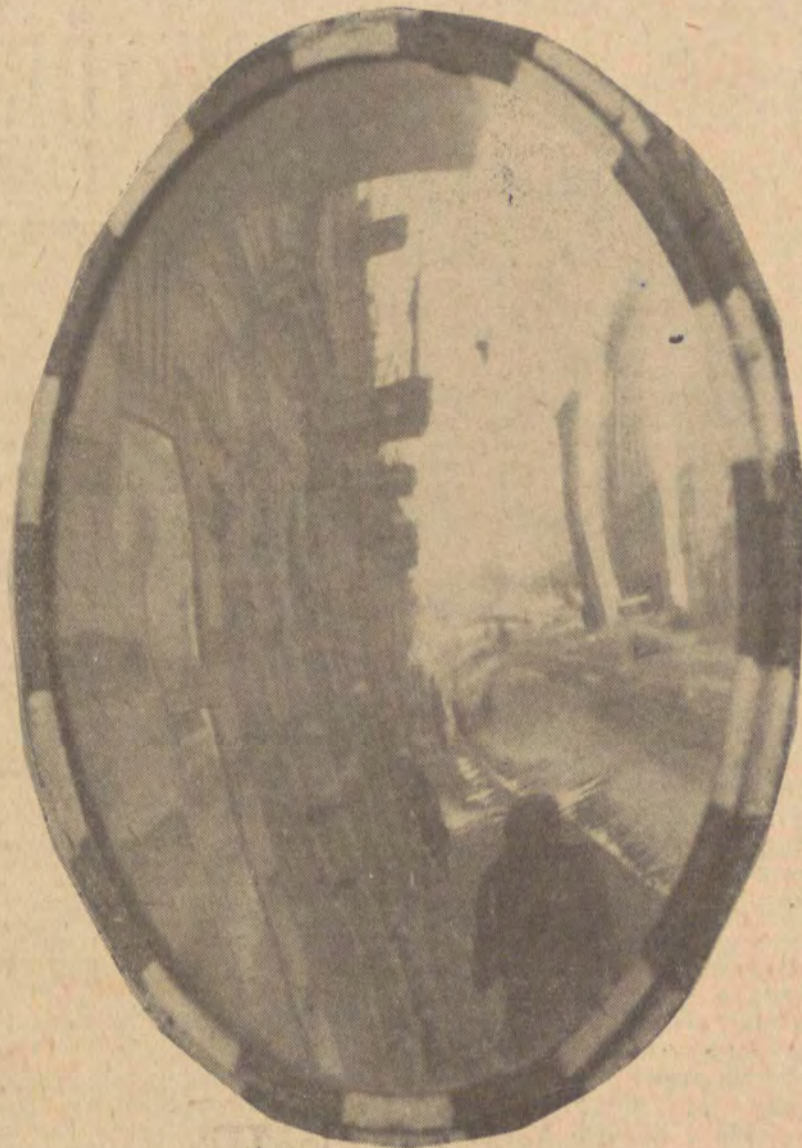


ULICA GŁÓWNA

FOTOREPORTAŻ:

JANUSZA

MENDYCHOWSKIEGO



ULICA GŁÓWNA

...pozostaje w ogólnym kompleksie zabudowy Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej i stworzy w perspektywie jedną z głównych arterii komunikacyjnych miasta w kierunku: Wschód-Zachód.

USŁUGI I HANDEL

Po obu stronach Głównej, północnej i południowej, wzdłuż osi ulicy, powstanie pasma 3-kondygnacyjnej zabudowy usługowej i handlowej. Będą tu zlokalizowane różne usługi ogólnomiejskie, w tym także gastronomiczne, handel wyspecjalizowany, rzemiosło, duże sklepy firmowe i fabryczne i in. Ponadto, w pasmie po stronie południowej zostanie zbudowany wielopoziomowy parking.

STRONA PÓŁNOCNA

Po stronie północnej ul. Głównej, głębiej, za pasmem zabudowy nandowo-usługowej, powstaje centrum dyspozycyjno-administracyjne miasta, kompleks wysokościowych budynków, które będą siedzibą różnych instytucji i urzędów.

STRONA POŁUDNIOWA

Po stronie południowej, także za pasmem budynków handlowych i usługowych, powstanie nowoczesne osiedle mieszkaniowe, które jest już w początkowym stadium realizacji, stanowiące fragment zabudowy Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Osiedle zaprogramowano z dużym rozmachem.

Obie strony ul. Głównej, więc południową i północną, w pobliżu Piotrkowskiej, połączy przejście podziemne, które będzie jednocześnie dojściem dla pieszych do przystanków komunikacji masowej. Należy wspomnieć, iż w ogólnym kompleksie SDM ul. Piotrkowska będzie głównym pasażem miejskim.

OSIEDLE I DOMY

Będzie to osiedle na wskroś nowoczesne, budownictwo wysokie, do 24 kondygnacji, które mimo intensyfikacji zabudowy zapewni jego przyszłym mieszkańcom optymalne warunki wytchnienia po pracy oraz rozrywki. W planie urbanistycznym ten wielki zespół mieszkalny zaprogramowano jako samowystarczalny. Będą tu bowiem nie tylko sklepy

różnych branż, punkty usługowe itp., lecz również klub, biblioteka, czytelnia, przedszkole dla tego rejonu zamieszkania, ośrodki praktycznej pani, salony kosmetyczne itp. A być może znajdzie się tu miejsce i na skromniutki ośrodek dla praktycznego pana.

Obok szkół podstawowych, program zabudowy osiedla przewiduje tzw. szkoły środowiskowe. Mowa tu o szkołach, w których by się odbywały w dzień normalne zajęcia szkolne dla dzieci, a po południu i wieczorem mogłyby się w nich dokształcać dorośli.

Z biegiem czasu wybuduje się na terenie osiedla kryty basen, dużą salę gimnastyczną i otwarty teren sportowy. Obiekty te będą działały także na zasadzie wymienności: rano korzystałyby z nich dzieci i młodzież, po południu — dorośli. Spółdzielczość mieszkaniowa i władze oświatowe miasta doszły w tej sprawie do porozumienia i opracowały wspólny plan działania.

WNĘTRZE DOMÓW

Novum w skali miasta, a nawet w skali kraju, jest rozwiązanie wnętrza domów mieszkalnych na o-

siedlu. Oto na słodkich kondygnacjach budynków znajdują się pokoje zainteresowań dla użytku lokatorów domu, osobne pomieszczenia na rozwijanie działalności społecznej i kulturalnej, punkty opieki nad dziećmi, działające na zasadzie paragonicznej opieki sąsiedzkiej, pracownie dla artystów i inne.

Inną nowością jest usytuowanie pomieszczeń gospodarczych na każdej kondygnacji domu, a zatem odejście od tradycyjnej piwnicy. Stanowi to ogromną wygodę dla przyszłych lokatorów.

Obszerne i funkcjonalne pralnie w każdym domu będą zaopatrzone w nowoczesny, automatyczny sprzęt pralniczy. Odpadną więc wszelkie kłopoty z praniem w mieszkaniach i związane z tym drobne, ale irytujące niedostatki.

Obok wind osobowych będą instalowane windy towarowe, niezbędne w tak wysokim budownictwie. Trudno wyobrazić sobie transport mebli na 24 piętro inaczej, niż windą towarową.

A metraż powierzchni użytkowej w tym budownictwie? Będzie on większy od obecnej przeciętnej. I tak np. M-3 będzie miało powierzchnię od 41 do 46 m²; M-4 —

od 59 do 60 m²; M-5 — około 70 m².

Jeszcze informacja dla przyszłych zmotoryzowanych mieszkańców osiedla: pod największym budynkiem osiedla przewidziano w planie budowę podziemnego garażu.

Nawet budynek techniczny, zaopatrujący mieszkańców w wodę i ciepło nie musi szpecić osiedla i być utrapieniem mieszkańców, ale, co więcej, może być nawet jego ozdobą. Tutaj rozwiązano ten problem nader interesująco: serce techniczne osiedla umieści się w podziemiu, a jego część nadziemna stworzy kształt plastycznej figury.

Investorem tej zabudowy jest Łódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa, a inwestorem powierzchniowym — Zakład Projektowania i Usług Inwestycyjnych „Inwestprojek” Łódź-Miasto. Wykonawcą: Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego Nr 1.

MIASTO **zapamiętane**

Dalszy ciąg ze str. 4

trze dla normalnej publiczności. W nocy dawała o sobie znać wojna. Uzbrojone patrole krążyły nie tylko wzdłuż portu, ale i wzdłuż ulic. Po północy o życiu łódzkiej ulicy przez dłuższy czas decydowały najgorsze mety.

Zakazem powrotu do domu pojeźdźcy lub w małych grupkach. Na szczęście nasze kwatery mieściły się w dwóch obok siebie położonych blokach. Z ulicy Cegielnianej mieliśmy do przejścia nie więcej niż trzydzieści metrów.

Coraz częściej jednak otrzymywaliśmy zadanie obsłużenia miejscowości pobliskich, jak Pabianice czy Zgierz. Wówczas podstawiano pod miejsca występów tramwaje.

Ten środek lokomocji nie był atakowany. Trudno było z daleka rozróżnić, czy korzystają z niego umundurowani artyści, czy też uzbrojeni lotne patrole. Ale i przez szczyby wagonów widzieliśmy często sceny groźne. Raz nawet byliśmy świadkami krwawej utarczki między żołnierzami a jakimś zbirem. Moje chłopaki zapalili się, by pomóc kolegom czynnie. Ci na szczęście sami dali sobie radę.

Wspominając dziś ludzi to miasto z sentymentem i wzruszeniem, ale chyba najpiękniejszą nazwę znalazł dla tamtej Łodzi nie poeta, a plastyk — nazywający już JERZY ZARUBA: „Łódź — dymiące Ateny”.

„Zaczęło się to w końcu stycznia r. 1945. Miasto Łódź po ponurym okresie „lucmansztwa” stało się najniebezpieczniej w świecie nie tylko centrum przemysłu włókienniczego, ale jednym z większych środowisk intelektualnych i artystycznych Polski. Duże, niezniszczalne, zupełnie nie miało możliwości dać gościć liczny, pozbawiony dachu nad głową tłum i ich adeptów. No i dalo. Jeszcze huk armat grał w uszach, jeszcze dymyły horyzonty, a już wiara spod różnych znaków zodiaku sztuki na wieść o nowoczesnych blokach z łazienkami i opuszczonych pałacach runęła na miasto. Tuż za czołgami wdzierała się forpoczta satyry z porucznikiem Leonem Pasternakiem na czele. On to brawurowym atakiem zdobywał jeden z najpiękniejszych nowoczesnych gmachów Łodzi, róg Bandurskiego i Kościuszki — obecny Dom Literatów. Kapitan Mikulko zatyka sztandar „Czytelnika” na gmachu Siemens, przy Piotrkowskiej. „Krasnowiecki” ulatnił zdobywając teatr na Cegielnianej, a major Ford na „Wilysie” wdziera się do hal sportowych i szeregu bloków na Narutowicza, Targowej i Kilińskiego, uruchamiając jednocześnie kino „Wisła”. Za nim, dymiąc aromatyczną kawą, wtacza się na swym „Expresso” inż. Szmidel i uruchamia pierwszy kawopój pod firmą „Mokka”.

Od tej chwili życie intelektualne Łodzi rozwijać się zaczęło właśnie po linii od „Mokki” do „Wisły”. Gmach „Czytelnika” począł rozbrzmiewać charakterystycznym gwarem. Szum wodogrzmotów polskiego „Manchester Guardian” („Dziennik Łódzki”) na próżno usiłując zagłuszyć huk selerów i młotów „Kuznicy”. Trzecie piętro (prawa oficyna) — zabezpieczony wpięty groźnymi napisami: „Nie wchodzić, miny” — zajęły „Szpilki”. Zza tych to drzwi dochodził wnikliwy i subtelny dźwięk pily satyrycznej z lekką posmarowaną wazeliną. Pierwsze piętro dygotało od tupotu „Chłopów ze Wsi”, co nie przeszkadza jednak słyszeć uwodzieleńskiego tembru głosu radcy prawnego „Czytelnika” mecenas Lesmana (Brzechwy) podpisującego któryś tam z rzędu raz umowę ze znanym poetą Janem Brzechwą (Lesmanem). Nieco dalej opuszczone apartamenty baronów przemysłu zajmują księżęta sceny. Z okien pałaców Kona słychać fałszywe tony filmu „Zakazane piosenki”.

Gmach Domu Literatów żyje bujnym życiem noclegowym. Na wielu drzwiach napisy: „wolnych łóżek nie ma — idźcie naprzeciwko”. Były to czasy, kiedy ludzie pchali się do Łodzi na granadę, a nie mając gdzie się podziać, wpadali do znajomych na tzw. chwilke, żeby się umyć i otrząść z drogi. No i zostawali po parę lat.

Dla wielu te „parę lat” powoli urosło w lat trzydzieści, wielu pozostało tu już na zawsze, na łódzkich cmentarzach, ale przychodzili inni — miasto się zmieniało i zmieniali się ludzie. Z pierwszych dni wolności Łódź weszła w dni powszednie — dni pracy i budowy.

Opracował:
JERZY WILMAŃSKI

POWTÓRKA Z HISTORII

Dalszy ciąg ze str. 2

mi pracować dla Łodzi i dla nowej wolnej Polski. Łódzianie przebywający w Ameryce organizują pomoc dla was”.

Swoją działalność rozpoczęło też w Łodzi Polskie Radio. Ukazujący się już od pięciu dni „DZIENNIK ŁÓDZKI” pisał 7 lutego:

„Dyrektor Polskiego Radia w Łodzi ob. inż. A. Radziwiłowicz, udzielił korespondentowi „Polpressu” następującego wywiadu:

Polskie Radio — Łódź rozpoczęło swą działalność 30 stycznia br. Pierwszą transmisję usłyszeli łódzianie pod megafonem na rogu Andrzeja i Piotrkowskiej. Ze względu na stan wojenny, w domu można będzie posiadać tylko głośnik radiowy na stację lokalną.

Wystarczy przejść się ulicą Piotrkowską, aby stwierdzić olbrzymie zainteresowanie społeczeństwa radiem. Zarówno nadawane przez głośniki komunikaty wojenne i polityczne, jak muzyka polska mają stale liczne rzesze słuchaczy. Tłumy ludzi oblegają megafon (...)

W najbliższym czasie rozgłoszą łódzka Polskie Radio rozmięci głośniki uliczne na ul. Piotrkowskiej do Górno-go Rynku. W dalszym ciągu będą radiodifundowane także inne ulice oraz dzielnice robotnicze, kluby, kawiarnie, sale zebrań, szpitale wojskowe i cywilne, świetlice itd.”

W połowie lutego do Łodzi przeniosła się również redakcja „Rzeczpospolitej”, która ulokowała się przy ul. Piotrkowskiej 96. Od tego czasu na łamach gazety ukazują się więcej artykułów o Łodzi. Zmienia się również ich charakter. Pojawiają się już notatki krytykujące i wyśmiewające niektóre anomalie życia miasta. W rubryce „Na marginesie”, 16 lutego „Rzeczpospolita” pisała:

„Obecnie okazuje się, że urzędy także mogą się reklamować. Odkrył to Urząd Propagandy Wojewódzkiej w Łodzi. Wszystkich ewentualnych bistrzyków reklamy prosimy o podkreślenie pionierskiej roli tego urzędu, który w mieście Łodzi na domach i słupach ogłoszeniowych obficie porozlepił drukowane ulotki z następującym czterowierszem:

„Nowy powstał urząd łódzki
Propagandy Wojewódzkiej
który wieść o polskim czynie
rozgłosił aż hen w Berlinie.”

W „Kronice Łódzkiej” gazeta pisała: „ŚWIĘTO MORZA”
„Liga Morska w Łodzi urządziła 18 lutego o godz. 10, w sali kina „Bałtyk” („Europa”) uroczysty obchód z okazji 25-lecia rocznicy odzyskania przez Polskę dostępu do morza. Udział biorą: orkiestra symfoniczna m. Łodzi oraz artyści scen polskich.”

Łódź była niezniszczona. Fabryki w większości gotowe do podjęcia produkcji, ale... Oto, co na ten temat pisała 18 lutego „Rzeczpospolita”:

„Wehódzimy do pierwszej hali fabrycznej. Olbrzymia przestrzeń o oszklonym dachu. Długimi szeregami stoją

tutaj w martwym bezruchu krosna i kładki. Leżą na każdym warsztacie członka z niemi. Rozpięta na walcach tkanina. Brakuje tylko robotników. Brakuje rąk. Przed wojną zatrudnionych tutaj było około 7.000 robotników. W latach hitlerowskiej okupacji załoga robotnicza zmniejszona została do połowy...”

Dziś zgłoszono się do pracy zaledwie 300 robotników. A gdzie jest reszta? Może szuka bardziej zyskownego zatrudnienia? A fabryka czeka... I prosi o zainteresowanie się nią. Wszystkie hale nadają się do natychmiastowego uruchomienia. W jednej tylko hali wro gorączkowa praca. Pięćset kilkadziesiąt krosien jest w ruchu. Ponad dwustu robotników sprawnie kontroluje pracę maszyn. Dwoje rąk obsługuje cztery krosna.”

A 20 lutego T. Ulanowski pisał w artykule „Sztandary nie wystarczą”:

„Polskie trzeba wypracować. Nie wszyscy jednak zdają się rozumieć tę prawdę. Umilowali dawniej kokardowy patriotyzm i świętują sobie w najlepsze, podczas gdy pora już zakasać rekawy i wziąć się do roboty. To nieustające święto jest jakimś nieporozumieniem.

„Podczas gdy w niezniszczonej Łodzi nie znajdziesz sklepu, który by uchylił drzwi przed nabywcą, w Warszawie od pierwszej chwili po wypędzeniu Niemców rozlokowały się wśród gruzów straganiki i kuchnie, w których głodny mógł się pożywić...”
„Łączność między Lublinem i Warszawą została nawiązana już kilka dni po wyzwoleniu stolicy. A tutaj, choć od miesiąca cieszymy się wolnością, o poczcie jakoś głucho...”

Wywieszajmy flagi, nośmy biało-czerwone kokardki, propagujmy hasła, które uznajemy za słuszne, ale na Boga, niech taka czy inna forma nie przesłania nam treści... A droga do Polski wolnej i szczęśliwej, to przede wszystkim, ofiara i praca.”

W numerze 69 z 14 marca 1945 „Rzeczpospolita” postulowała: „ZMIENIĆ HANDEL „DZIKI” NA LEGALNY”

„Przechodnie ulicy Piotrkowskiej co kilkanaście kroków muszą zwałniać tempo, wymijać grupki osób, stojące pod murami kamienic lub zgola na środku chodnika. To uliczny handlarz stanął tu z towarem... Ponieważ poza parą nielicznymi sklepami spożywczymi, które zostały otwarte kilka dni temu, w Łodzi nie można było dotychczas niczego kupić, rzecz zrozumiała, że owi handlarze budzą wprost sensację i cieszą się dużym powodzeniem.

Prawie każdy zatrzymuje się, by kupić bochenek chleba (po wygórowanej cenie 50 zł za 1 kg razowego lub 70 złotych za kg pyłowego), słoniny (450 złotych o zgrozo!), jabłek (za wyśrubowaną cenę 250 zł za kg), lub papierosa („cale” 2 zł od sztuki), czy tytoniu, świec, guzików, nici. Skąd uliczny handlarz posiadał towar? Przywoża go z Sochaczewa i Łowicza, gdzie chleb kosztuje równo dwa razy taniej... Dopóki Łódź nie otrzyma osobowych

przewodników żyłkowych, produkty spożywcze będą drogie. Można jednak omyślnie walczyć z tym przez ogłoszenie odpowiedniego cennika (co praktykowano stale w Lublinie)... Druga sprawa to wyznaczenie tym handlarzom jednego z rynków, jako placu targowego.”

Powoli przezwyciężano trudności. Zaprowadzano porządek i ład, uruchamiano dalsze fabryki, powstały nowe instytucje. W tym samym numerze „Rzeczpospolitej” pod tytułem „Wolna Wszechnica Polska” ukazała się następująca informacja:

„Zapisy na Wydziały: Matematyczno-Przyrodniczy, Humanistyczny, Pedagogiczny i Nauk Społecznych rozpoczynają się w czwartek, dnia 15 marca w lokalu Szkoły Włókienniczej przy ul. Zeromskiego.”

Rectorat Państwowego Uniwersytetu w Łodzi — Wolna Wszechnica Polska prosi Profesorów WWP, znajdujących się poza terenem Łodzi o jak najwcześniejsze przybycie do Łodzi. (Hotel „Monopol” — Zawadzka 7), względnie skomunikowanie się z Rectoratem.

W dwa dni później, 18 marca „Rzeczpospolita” informowała: „ROBOTNICZY OTRZYMAŁI PREMIE”

„Łódź, 17. III. (Polpress). Akcja premiowania robotników i pracowników wyróżniających się w pracy nad uruchomieniem i usprawnieniem działalności naszego przemysłu przybrała w m-cu marcu br. bardzo szerokie rozmiary... około 20 proc. wybitnie zasłużonych robotników i pracowników przemysłu łódzkiego otrzymało premie w naturze, w postaci materiałów włókienniczych.

Za pośrednictwem Rad Załogowych rozdzielono 10.000 m tkanin wełnianych i 1.000 m różnych tkanin drelichowych, 5.000 m tkanin „Manchester”, 10.000 m różnych tkanin bawełnianych, 10.000 par skarpet, 5.000 par pończoch damskich, 3.000 kompletów dziecięcych, 2.000 swetrów i 3.000 gotowych koszul męskich.

Na miesiąc kwiecień przewidziany jest w ramach akcji premiowej dalszy przydział materiałów włókienniczych.”

„Z TEATRU WOJSKA POLSKIEGO”
Otwarcie sezonu w Teatrze WP, nastąpi w nadchodzący czwartek. Wystawione zostanie „Wesele”. Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Jacka Wyszczerskiego z udziałem: Hanin, Kosobudzkiej, Horekiej, Grabowskiej, Bro-

nowskiej, Mrozowskiej, Krasnowieckiej, Kreczmar, Maliszewskiego, Świdorskiego i innych.”

„Począ łódzka praca” — donosiła gazeta 23 marca 1945 roku.

„Sprawnie, wydajnie i szybko pracuje pocztą łódzka. O działalności poczty łódzkiej informuje nas dyrektor ob. Zieliński (...). Na terenie Łodzi działa 17 urzędów pocztowych i rejonowy urząd telegraficzny. Innowacją stanowi stworzenie Urzędu Telefonów Miejskich. Z inicjatywy dyr. ob. Zielińskiego powstała w Łodzi niezmierzona ważna placówka: Państwowe Zakłady Graficzne wypuszczające miliony znaczków na całą Polskę (...)

Znaczący należy, że prowadził już można rozmowy telefoniczne zamieszkałe — między wszystkimi miastami powiatowymi. Łódź posiada około 1500 aparatów telefonicznych, których ilość rośnie z dnem każdym.”

Z początkiem kwietnia 1945 r. rozpoczął się w Łodzi sezon piłkarski. Donosiła o tym „Rzeczpospolita” 31 marca.

„W poniedziałek, dnia 2 kwietnia br. punktualnie o godz. 14 na boisku Łódzkiego Klubu Sportowego przy Al. Unii odbędzie się zawody piłkarskie między reprezentacją robotniczych klubów naszego miasta, a reprezentacją obozu b. jeńców Armii Francuskiej, wyzwolonych przez Armię Czerwoną. Zawody prowadzić będzie p. Zygmunt Kowalski. Organizatorzy nadali zawodom specjalnie uroczysty charakter, zapraszając przedstawicieli Armii Czerwonej, Wojska Polskiego, Wojewodę Łódzkiego, Prezydenta Miasta oraz przedstawicieli organizacji politycznych i zawodowych. Przed zawodami orkiestra Wojska Polskiego koncertować będzie od godz. 13-tej. Bilety wstępu w cenie: trybuna z 10, stojące z 5, uczniowie i wojskowi z 2.”

Urywamy w tym miejscu przegląd wydarzeń z początku 1945 roku. Jest to niestety tylko wybór publikacji ze starych roczników gazet. Dla jednych będzie on przypomnieniem dni, które sami przeżyli. Innym może pomóc w zrozumieniu czasu, w którym rodzila się wolna Łódź.

Opracowała:
BOGDA MADEJ



Fot. W. Parys

KARNAWAŁ SPRZED STU LAT

Łódź u progu 1874 roku miała już poza sobą długotrwały kryzys gospodarczy, wywołany brakiem bawełny na rynkach światowych i wydarzeniami powstania styczniowego. Miasto rozwinęło się znacznie, osiągając ponad 60 tys. mieszkańców, i wchodziło właśnie w okres największego w swej historii rozkwitu. Toteż z niechęcią optymistycznym witali łódzianie nowy rok.

Do nadchodzącego karnawału już na wiele dni naprzód przygotowywało się całe miasto: restauratorzy i cukiernicy, muzycanci, fryzjerzy, magazyni mody, nauczyciele tańca i punkty wynajmu karet. Rozpoczęło się żniwo dla setek ludzi przeróżnej karnawałowej „branży”.

W jedynej podówczas miejscowej gazecie „Łódzki Czas”, wydawanej przez właściciela drukarni Jana Petersillego, pojawiały się w językach polskim i niemieckim liczne inseraty firm handlowych, w których polecały one mieszkańcom Łodzi bogaty asortyment różnych towarów na okres karnawału. Znany z solidności handel win i delikatności Józefa Zwollńskiego, mający pomieszczenie w Rynku Nowego Miasta pod nr 5 (plac Wolności), oferował swoim klientom oprócz dużego wyboru win i wódek, również takie specjalty jak: ostrzyż, bażanty, kwiczoły, kawior astrachański, gruszkę francuską i jabłka tyrolskie. W tymże Rynku, ale pod nr 4, w cukierni Babskiego (dawniej Szwetysza) można było zaopatrzyć się w wyborne paczki warszawskie i inne wyroby cukiernicze.

Panie ubierające się modnie z zainteresowaniem czytały ogłoszenie gazetowe, w którym donoszono, że „magazyn mody Rozalii Beer pod nr 3 w Nowym Rynku zaopatrzony został w znaczny wybór kapeluszy najnowszej mody, pióra, wstążki, stroje itp. które poleca szanownej publiczności po cenach bardzo przystępnych”. W nowym twarowym kapeluszu nie można odmówić sobie zrobienia zdjęcia w atelier fotograficznym Dominika Zonera, prowadzącego od lat dziesięć swój zakład przy ul. Konstantynowskiej nr 3 (Obrońców Stalingradu). Zwłaszcza że Zoner „posiadając najdoskonalsze przyrządy jest w możności wykonywać fotografie w największych rozmiarach, które nie tylko nie ustępują najlepszym olejnym portretom, lecz co do podobieństwa takowe nawet przewyższają”.

Osoby, niezbyt zaawansowane w umiejętności tańczenia, na długo przed rozpoczęciem karnawału zdążyły do Józefa Richtera. Powiadał on w gazecie, iż rozpoczyna lekcje tańców w mieszkaniu przy ul. Piotrkowskiej nr 264. Mistrz sztuki tańecznej nie narzekał na brak uczniów. Nikt w owym czasie nie tańczył z takim ogniem mazure, jak dawny ulan-powstaniec, Józef Richter.

Karnawał Anno Domini 1874 zapoczątkowany został wielką maskaradą w sali teatralnej Sellina przy ul. Konstantynowskiej nr 14. Powiadają o tym balu na łamach „Łódzki Czas”, organizatorzy zwracali się do publiczności z następującym apelem:

„Uprasza się najuprzejmiej, ażeby szanowne panie i panowie o ile możności byli w maskach. Pan Vogel wypożycza domina damskie i przyjmują obustalunki na takowe na 8 dni przed balem. Kostiumy męskie dostać można u p. Sellina”.

Bale karnawałowe w sali Sellina miały już wtedy wieloletnią tradycję. Corocznie brała w nich udział elita polskiego społeczeństwa Łodzi i okolicy: lekarze, nauczyciele, urzędnicy, posiadacze ziemscy. Do tańca przygrywała znakomita Kapela Miejska pod dyktando Roberta Orzechowskiego, składająca się z 22 muzykantów. Właściciel lokalu, popularny w mieście cukiernik i restaurator Fryderyk Sellin, zapewniał uczestnikom zabaw karnawałowych duży wybór trunków i rozmaitość potraw i zakąsek.

Fabrykanci i kupcy niemieccy zabawiali się w czasie karnawału w sali teatryku „Paradyz” przy ul. Piotrkowskiej nr 175. Organizatorem maskarad w tym lokalu było Towarzystwo Śpiewacze Miejskie.

Maskarady w sali Sellina i w „Paradyzie” organizowano nie tylko z myślą milego i wesołego spędzenia wieczoru przez ich uczestników, ale także dla zyskania funduszy na cele dobroczynne. Tańczono więc na rzecz ubogich, na potrzeby szpitala miejscowego, na wpisy dla niezamożnych uczniów powiatowej szkoły realnej.

Niewielu mieszkańców Łodzi mogło pozwolić sobie na udział w mas-

karadach karnawałowych. Większość musiała liczyć się z groszem, toteż dużym powodzeniem cieszyły się dostępne dla kieszeni przeciętnego łódzianina wieczory karnawałowe urządzane w salach restauracyjnych. Na zabawkach tych nie oszczędzali oczu brylanty, perły i złoto, za to bawiono się wsmieniciele.

Nawet ubodzy mieszkańcy miasta nie rezygnowali z uciech karnawałowych. Młodzi robotnicy z Kozin i Księżego Młyna, z podmiejskich Bałut i Chojen sobotnie wieczory karnawałowe przeważnie spędzali w tawernach, „tancbudach”. Salę tańca stanowiła obszerna szopa na trzeciej ulicy lub przedmieściu, w której wieczorem zbierała się gromadnie młodzież fabryczna. Przy migotliwym blasku świec, w sali pełnej kurzu i zaduchu, przygrywał rozochocionym parom na harmonii lub skrzypcach muzykant. Dookoła siedzieli na zwykłych ławach „kawalerowie z damami”, czekając swej kolejki, albo kiedy zrobił się mniej ciasno, by stanąć co prędzej do tańca. Zabawa często przerywano, gdyż dochodziło do bijatyk podstępnych młodzieńców o względy tancerki.

Rodziny robotnicze w czasie karnawału bawiły się w prywatnych pomieszczeniach w gronie krewnych i znajomych. Do tańca przygrywał „armunijce” muzyczny sąsied, a jeśli takiego nie stało, poprzestawiano na chóralnym śpiewie.

WACŁAW PAWLAK

DEBIUTY POETYCKIE

Impreza „DEBIUTY POETYCKIE-73” organizuje się już w Warszawie po raz trzeci. Organizatorów jest kilku: Wydział Oświaty i Wychowania, Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Dzielnicy Warszawa-Sródmieście, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki — „Sciana Wschodnia” oraz Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, który nad tą imprezą sprawuje patronat.

W ramach imprezy, która odbędzie się w Warszawie 27 stycznia 1974 roku, w Klubie MPIK „Sciana Wschodnia”, zaprezentuje się wiersze wybrane z tomików debiutantów ubiegłego roku, odbędzie się „TURNIEJ JEDNEGO WIERZA” oraz rozstrzygnięty będzie „KONKURS NA WIERZ O WARSZAWIE”.

Rozdane zostaną nagrody: Rady Głównej Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej za wybitne idee i artystyczne wartości tomu debiutanckiego roku 1973, Zarządu Głównego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich dla laureata „TURNIEJU JEDNEGO WIERZA” oraz Przewodniczącego Rady Narodowej Warszawy-Sródmieście dla laureata „KONKURSU NA WIERZ O WARSZAWIE”.

Wiersze na „KONKURS NA WIERZ O WARSZAWIE” można nadsyłać do 25 stycznia 1974 r. na adres: Klub MPIK „Sciana Wschodnia”, 00-016 Warszawa, ul. Marszałkowska 116/122.

„Na „KONKURS” nadsyłać można — piszą organizatorzy — jeden wiersz, cykl wierszy, poemat. Wiersze nie mogą być uprzednio drukowane”.

Prace należy opatrzyć godłem i dołączyć do nich zaklejoną kopertę, opatrzoną tym samym godłem, w której powinno znajdować się imię i nazwisko oraz adres autora.

ZE ŚLĄSKA NA ALASKĘ

Dla uczczenia XXX rocznicy PRL śląskie kółka Klubu Wysokogórskiego przystąpiły do organizacji pionierskiej wyprawy, wycieczki sportowej, wycieczki w subarktyczne góry Alaski.

Wyprawa, planowana na ok. 5 miesięcy, wyruszy w połowie 1974 roku statkiem „Stefan Batory”, a poprzez Kanadę i Alaskę poruszać się będzie dwoma samochodami zabranymi z Polski. W wyprawie weźmie udział 12 uczestników, w tym 9-ciu wspinaczy, wchodzących w skład ścisłej czołówki krajowej, posiadających medale za wybitne osiągnięcia sportowe i odznaczenia wojewódzkie. Kierownikiem wyprawy będzie znany alpinista mgr inż. Henryk Furmanik. W składzie przewidziano także udział tłumacza, radiowca i lekarza, a ponadto do wyprawy dołączy się dwóch przedstawicieli Polonii Kanadyjskiej. Nawiazano już kontakty z polskimi ambasadami i z Polonią.

Nowością będzie bezpośredni i stały, dwustronny kontakt z krajem za pomocą stacji radiowej. Radiotelegraficzna łączność wewnętrzna wyprawy umożliwi natychmiastowe przekazywanie raportów z obozów wysokościowych, a może i ze szczytów wprost do centrali w Polsce.

Celami sportowymi wyprawy będą nowe drogi i warianty wyprowadzające na dwa najwyższe szczyty kontynentu północnoamerykańskiego: na Mt. McKinley (6198 m) z lodowca Kahiltna (ok. 2700 m) i na Mt. Logan (6050 m) z lodowca Seward (ok. 2000 m). Planowane są także wejścia na inne szczyty. Projektowane przejścia będą się odbywały ścianami o ogromnej wysokości szczytu 5500 m w bardzo trudnych warunkach.

Góry Alaski, najwyższe subarktyczne góry świata, odznaczają się bardzo surowym klimatem i silnym zlodowaceniem. Jezory lodowców wypływających z wnętrza gór mają długość rzadko przekraczającą 100 km. Wnętrze gór i ich okolic są zupełnie niezamieszkałe i bardzo rzadko odwiedzane jedynie przez wyprawy sportowe i naukowe.

Góry St. Elias, gdzie wznosi się Mt. Logan, jeden z celów ekspedycji, są stosunkowo słabo poznane. Jeszcze w latach pięćdziesiątych wiadano o nich mniej niż o Himalajach przy końcu XIX wieku. Ze względu na duże wysokości, szorstwo wiatru, wiatry, wyprawy muszą być starannie dobrane i wyposażone w odpowiedni sprzęt. Dla zapewnienia należytego bezpieczeństwa konieczne jest tu zakładanie ciągów linowych obozów wysokościowych, zaopatrzonych w żywność i paliwo, wystarczające do przetrzymywania wielodniowych burz.

Odbieranie odległości od dróg zmuszają do stosowania transportu lotniczego przez ekspedycje. Wszystko to stwarza różnorodne problemy, m. in. psychiczne, ostrzejsze niż na to miejsce nawet w Himalajach, gdzie istnieje możliwość wypoczynku w ciepłych basenach zakładanych nie na lodzie. Nie też dziwnego, że pod względem sportowym góry Alaski są niezwykle wysoko cenione na świecie i stanowią gwarantowaną sprawność i dojrzałość ekspedycji.

— W 1944 roku, jako wojenny kinooperator, zostałem odkomenderowany do Wojska Polskiego — wspomina NIKOŁAJ KISIELEW — i kręciłem filmy w jednostkach artylerii, lotnictwa i piechoty. Na początku 1945 roku znalazłem się w szeregach Armii Czerwonej wcielającej Łódź. Otrzymałem rozkaz zorganizowania ochrony obiektu „Hotel Polonia” i znajdujących się obok magazynów win, skór i wyrobów cukierniczych. Byłem wówczas w stopniu inżyniera kapitana. Teraz, po latach, przy porządkowaniu prywatnego archiwum, natknąłem się na kilka negatywów z Łodzi, zrobionych 28 stycznia 1945 roku. Robiliśmy wtedy zdjęcia z pogrzebu więźniów spalonych w łódzkiej więzieniu. Podczas uroczystości wszedłem po schodkach na wież strażniczą i znalazłem tam dwa skurczone w agonii trupy. Krzyknąłem. Na mój krzyk ceremonię pogrzebową przerwano i zwłoki zniesiono z wieży.

Więźnienie, o którym wspomina Kisielew — to **RADOGOSZCZ**. Przypatrzmy się tym zdjęciom, robionym 29 lat temu.

Twarze na fotogramach są już mało wyraźne. Czas zrobił swoje. Negatywy wywołane w warunkach polowych uległy pewnemu zniszczeniu. Nietrudno jednak o identyfikację zdjęć. Charakterystyczny komin, wypalone mury, bramy identyczne z zachowanym „Mauzoleum tragedii Radogoszcza”.

Pomścimy męczenników Radogoszcza! — „Śmierć oprawcom Oświęcimia!” — krzyczą transparenty na jednym z fotogramów. Na innym sztandary, biało-czerwone i czerwone. Orzeł biały i gwiazda pięcioramienna nad sierpem i młotem przy budce strażniczej.

HITLEROWSKI OBÓZ

na Radogoszczu utworzono w listopadzie 1939 roku. Początkowo mieścił się przy ulicy Krakowskiej 55 w zabudowaniach fabryki włókienniczej Michała Glazera i Szymona Berensteina, którzy w początkach wojny opuścili Łódź. Obóz podlegał łódzkiemu urzędowi gestapo. Umieszczano w nim przeważnie inteligencję aresztowaną podczas jesiennej operacji terrorystycznej 1939 r., wymierzonej przeciw ludności polskiej. Wśród więźniów Radogoszcza byli także Żydzi i niemieccy antyfaszyści.

W Radogoszczu dziennie przebywało od 500 do 1000 osób. Egzekucji więźniów Radogoszcza hitlerowcy dokonywali masowo w lasach łucmierskich, chełmskich i zgierskich.

Stanisław Witczak z Łucmierz, świadek potwornych zbrodni, napisał we wspomnieniach w 1947 r.:

„Jako gajowy w lesie Łucmierz widziałem doły pełne trupów, przykryte małą ilością ziemi tak, że wystawały ręce i nogi pomordowanych. Było to w listopadzie 1939 r. Co parę dni hitlerowcy przywozili transporty ludzi i rozstrzelali. Według mojej obserwacji w lasach tych wymordowano około 15 tysięcy osób...”

Wojciech Kuzański wspominał: „W czasie wybuchu wojny w 1939 roku przebywałem w okolicy Łucmierz. W listopadzie Niemcy wzięli autami ludzi do lasu i tam do nich strzelali. Żywych i umarłych przywozili w to miejsce do 1943 r. Później, dokładniej nie pamiętam, hitlerowcy palili wszystkie zwłoki. Trwało to przez trzy miesiące, a może i dłużej...”

W końcu grudnia 1939 roku obóz został przeniesiony do znacznie większej fabryki Samuela Abbego u styku ulic Zgierskiej i Sowińskiego. Fabryka ta stanowiła kompleks budynków ogrodzonych wysokim murem. W początkach 1943 roku na cele obozowe wykorzystywano wszystkie znajdujące się tam pomieszczenia. Trzymetrowy mur okalający zabudowania podwyższono wówczas o pół metra dodatkowym ogrodzeniem z drutu kolczastego. Na zewnętrznej budowano cztery wieże strażnicze i przeprowadzono podwójną linię zaskoków z drutu kolczastego.

RADOGOSZCZ

Był faktycznie wielkim obozem karnym, zbliżonym do obozów koncentracyjnych. Fatalne warunki higieniczne, brak jakiegokolwiek opieki lekarskiej i wymyślne tortury były środkami konsekwentnie prowadzonymi do zagłady przebywających tam osób i zaspokajali sadystyczne namiętności zatrudnionych Niemców. Wynalazkiem łódzkich oprawców Radogoszcza była tortura „maneu”, kara „bezczi”, „skrzyń” i „warsztat”. Maneu urządzano codziennie. Był to bieg więźniów po obwodzie koła. Biegających strażnicy bili bitykowcami zakończonymi metalem. Nierzadko „maneu” urządzano nocą, w deszcz lub śnieg. I ten morderczy bieg trwał nieraz cztery do pięciu godzin. Innym wymysłem sadystów hitlerowskich było zmuszanie więźniów do człogania się po dziedzińcu wysypanym gorącym żużlem, duszenie wodą w pompowyaną do organizmu itp. A jedną z form „pomocy lekarskiej” chorym były zastrzyki z nafty i fenolu przyspieszające śmierć w okropnych męczarniach.

Od 1941 roku Radogoszcz nosi charakter obozu przejściowego. Kierowano tu więźniów gestapo i kripo. Po jakimś czasie tych, co nie zostali rozstrzelani w lasach podłódzkich wywożono do obozów koncentracyjnych.

Pierwszym komendantem obozu zagłady w Radogoszczu był SS-Obersturmfuehrer Ehlers, a od połowy 1940 roku Walter Pelzhausen, sadysta. W okresie okupacji przez Radogoszcz przeszło około 50 tysięcy osób, z czego zamordowano około 30 tysięcy. Nie licząc zamordowanych poza terenem obozu, dziennie ginęło tu w wyniku wymyślnych tortur i wyćnięcia od kilku do kilkunastu osób. Zdarzały się także egzekucje w samym obozie. W 1941 roku np. rozstrzelano kilka osób, które czyniły przygotowania do ucieczki. 1 kwietnia 1942 roku Pelzhausen osobiście rozstrzelał dziewięciu więźniów oskarżonych o kradzież kawałków suchego chleba. Wśród tej dwójki jest dziesięcioletni chłopiec, którego więźniowie nazywali Kruzyną.

W PRZEDDZIEŃ WYZWOLENIA

Łódź przez jednostki wojskowe Armii Czerwonej, Niemcy zdołali część więźniów wywieźć na zachód. Ich miejsce natomiast zajęło kilkadziesiąt osób przyprawionych ze Skiernewic i Grójca. W nocy z 17 na 18 stycznia 1945 roku było w obozie około 2000 więźniów. Około północy Pelzhausen i Heinrich rozpoczynają przygotowania do ostatniej i największej ze swych zbrodni. Na parterze oraz na pierwszym i drugim piętrze ustawiają karabiny maszynowe. Wypędzają więźniów z sal i otwierają do nich ogień. Więźniowie polityczni z trzeciego piętra, widząc co się dzieje, organizują czynny opór. W salach na drugim i trzecim piętrze barykady się. Na głowy hitlerowców zrzucają cegły, połamane przyce, deski, gruz. Wodwecie Niemcy używają granatów. Zdecydowani na wszystko więźniowie odrzucają na hitlerowców granaty, które nie zdołały jeszcze eksplodować.

Około stu więźniów nad ranem 18 stycznia atakują esesmanów, którzy wtargnęli na drugie piętro dobijając rannych. Zaskoczeni Niemcy wycofują się. O siódmej rano podzuczają do głównego budynku materiały wybuchowe. Następuje eksplozja. Budynek płonie. Do więźniów usiłujących wyskakiwać z okien Niemcy strzelają, a dach budynku obrzucają granatami. Obłężenie płonącego budynku trwa przez cały dzień i następną noc. Glinie prawie 2000 więźniów w żywej pochodni, jaką był płonący budynek obozu Radogoszcza. Uratowało się zaledwie kilkanaście osób, które przetrwały na czwartym piętrze i w magazynie żywności.

19 STYCZNIA 1945 ROKU

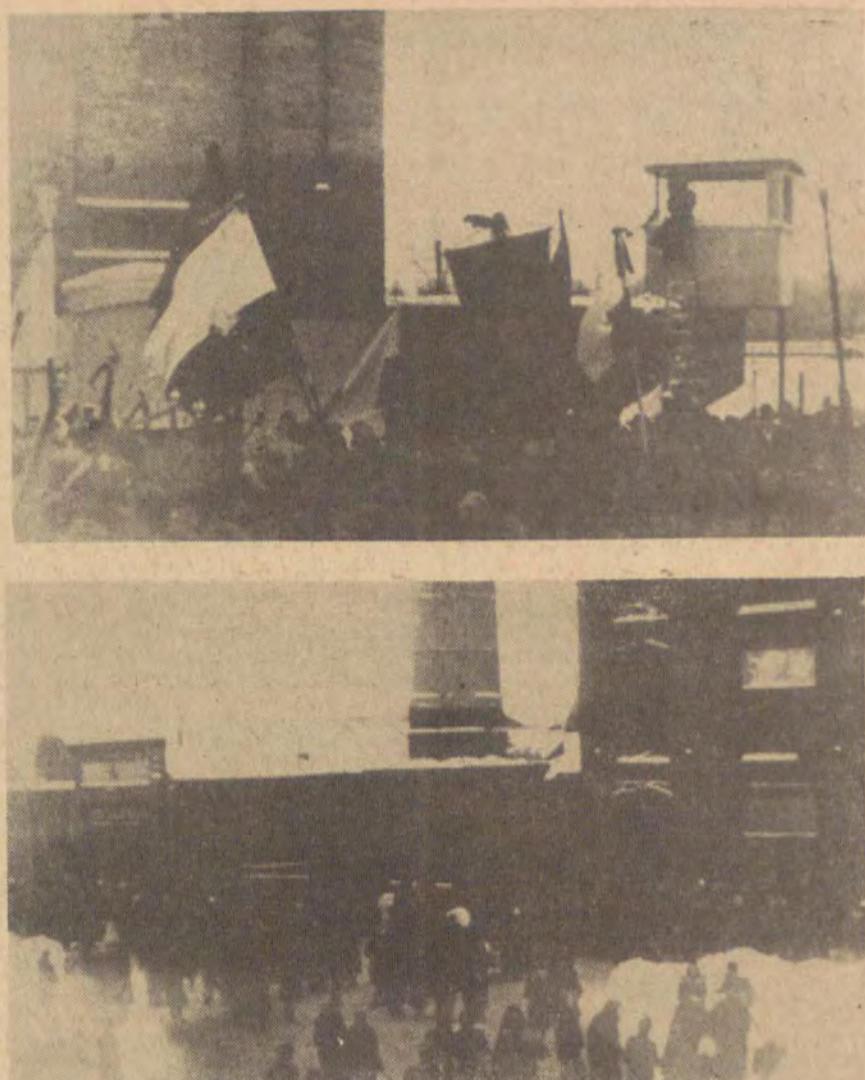
O godzinie 11,30 przed bramą Radogoszcza zatrzymały się radzieckie czołgi. Oprawcy zdążyli jednak zbiec. Wachmistrz schupo, W. Norkwert z Radogoszcza wraz z żoną popełnił samobójstwo.

Gmach więzienia jeszcze dymił. Śwad spalenizny ciał ludzkich unosił się po okolicy. Dziedziniec był zastany ciałami więźniów. Nadwęglone zwłoki zamarzyły.

Po jakimś czasie na spotkanie żołnierzy, którzy przynieśli wolność, wysunęło się z czeluści wypalonego wnętrza fabryki kilku wycieńczonych i poranionych więźniów.

Tego wszystkiego wojenny kinooperator, kapitan inżynier Nikołaj Kisielew nie widział. Dokumentalista wojenny oglądał tylko ostatnią drogę zwęglonych ciał. Kinooperator Kisielew przebywał w Łodzi od 20 stycznia do 2 lutego, kręcąc dokument filmowy pierwszych dni wolnej Łodzi. Równocześnie dokonywał zdjęć zwykłym aparatem fotograficznym.

Wydało mi się, że dziś, po 29 latach, jakie minęły od tamtych tragicznych dni, byłoby interesujące sięgnąć do archiwum filmowego Armii Radzieckiej, kto z kronikarzy utrwalał wówczas obraz budzącego się życia wielkiej Łodzi. Propozycja ta powinna zainteresować przede wszystkim łódzkie środowisko filmowe oraz historyków, zajmujących się regionem i czasami najnowszych. Kinooperator Kisielew, który obecnie mieszka w Kujawach i jest członkiem stowarzyszenia filmowców ZSRR, byłby tu osobą nieocenioną.



STEFAN FIJAŁKOWSKI

FOTOGRAFIE SPRZED 29 LAT



Muszę się przyznać, że do tego mieszkania trafiłem przypadkowo. Otóż szukając materiałów z przeszłości dawnych zakładów Scheiblera i Grohmana zwróciłem się o pomoc do przyjaciela ze szkolnych lat, pełniącego dziś odpowiedzialną funkcję w ZPB im. Obrońców Pokoju. I wtedy padło to nazwisko: KAZIMIERZ DUDEK — można by powiedzieć chodząca historia zakładu. Człowiek ten przepracował u nas 50 lat.

Mój rozmówca, zajmujący pokój z kuchnią na Księzym Młynie sprostował tę liczbę zaraz na wstępie.

— Dokładnie 50 lat i trzy tygodnie. Właśnie wrócił z wczasów i na krzesłach walały się części garderoby, wypakowane dopiero co z walców. Gospodarz przeprosił za bałagan, ale jego żona do końca mego pobytu czuła się zażenowana.

— Bo widzi pan — tłumaczyła — zawsze tak się składa, że kiedy przyjdzie jakiś gość, to trafi akurat na bałagan.

— Żona zawsze lubiła porządek. Mogę panu powiedzieć, że ledwo wróciła z pracy, już mi się oberwało. No, ale co by nie powiedzieć, ma trochę racji.

rodzice też nie pracowali przez pół roku. Potem dopiero udało im się zdobyć pracę w tym samym zakładzie, w którym i ja pracuję. Mama zaczynała w tych zakładach, jak miała czternaście lat.

Słuchając tych opowieści rozglądałem się po pokoju i przez chwilę zatrzymałem wzrok na ślubnym zdjęciu wiszącym na honorowym miejscu. Pani Bronisława jakby uprzedzając moje pytanie, powiedziała:

— To było w trzydziestym drugim. Ja poszłam do pracy jak Tadeusz — Tadeusz to nasz pierworodny — miał rok. Mąż już miał wyrobioną markę,

Pochłonięty myślami o własnym domu, straciłem część opowieści. Nie notowałem. Teraz nie do odtworzenia. Zaczęłam znowu pisać, kiedy pan Kazimierz podszedł do okna.

— Niech pan podejdzie bliżej. Tu, gdzie jest szkoła, był ogród. Letnią porą, jak dopisała pogoda, odbywały się tu zabawy. Za budynkiem była muszla. Już po niej ani śladu i tam grała orkiestra. Przed wejściem trzeba było wykupować bilety. Ja miałem wtedy szesnaście, siedemnaście lat. Z kolegą weszliśmy na komórkę, które odgradzały ten teren i prześliznęliśmy się niezauważeni przez bileterów. To był najpiękniejszy dzień.

— Wtedy się poznaliśmy — dodaje z uśmiechem pani Bronisława. — Od tego czasu sporo się zmieniło. Nawet w tym domu. Na podwórku były takie „ule” — ubikacje — dodaje szybko.

To akurat pamiętam. Byłem już wtedy dziennikarzem, i miało to dla mnie posmak Clochemerle. Zorganizowano uroczystość urastającą do miary symbolu. Sam mer miasta, w otoczeniu co znaczących osób, z siekierą w ręku przystępował do bu-

HENRYK POLAK

ROBOTNICZY ŻYCIORYS

Dosłownie, w dwie minuty później mieszkanie przypominało przysłowiową bombonierkę. Wiedomo, co potrafi doświadczonego kobiecia ręka. I zaraz potem na stole zjawiała się świeżo zaparzona herbata, przy której, jak twierdzi pani Bronisława Dudek, lepiej się rozmawia.

Gospodarz sam podjął temat.

— Zaczynałem w tych zakładach jako goniec. Wtedy, jeżeli ktoś chciał przejść na produkcję, musiał trochę poczekać. Mnie się udało. Dość szybko dostałem się na tkalnię. Zależało mi na pracy. Matka była sama, a do utrzymania, poza mną, jeszcze czworo dzieci. Były takie miesiące, że ja sam pracowałem na wszystkich. Matka nie pracowała i dwie siostry też nie mogły dostać roboty. W tej chwili, jak u kobiety wejść na karik szesnaście latka, a u mężczyzny 65 lat, odchodzi na zasłużony odpoczynek. Przedtem pracowało się dokoła człowieka mógł.

Każdy bał się redukcji. Wystarczyło, że nabywało się prawa do urlopu, czy innych świadczeń, następowała redukcja. Pracowało się po dwa, trzy dni w tygodniu.

— Majster wtedy był — wtrącała pani Bronisława — rzeczywistym kierownikiem. I każdemu zależało, żeby nie musiał ustąpić miejsca innym, czekającym na pracę za bramą. Moi

wstawił się za mną i dostałam się na cerownię. I tak pracowałam do wojny.

— Mamy dwoje dzieci — mówi, kontynuując rodzinny temat, pan Kazimierz. — Syn Tadeusz pracuje w tej chwili w „Feminie” jako dziewiarz, a córka pracuje w biurze wydzielonym tkalni. Jak pan widzi, tradycje włókiennicze zostały utrzymane. To już chyba piąte pokolenie, które robi we włókiennictwie. Tak z dziada pradziada, jak to się mówi.

Ale pana by chyba interesowało, jak tu było dawniej.

Przytaknąłem skwapliwie. No cóż, ja Łódź poznałem dopiero po wojnie. Wtedy stały jeszcze domy na Przędzalnianej, które dopiero w ostatnich latach poszły pod kilof, żeby zrobić miejsce pod drugą jezdnię na Armii Czerwonej. Nie przerywam jednak. Ten dom i panująca w nim atmosfera, rozgrzani wspominkami gospodarze, przypominali mi mój własny dom, usytuowany w cieniu szybu w Zagłębiu Dąbrowskim.

Jakże podobnie układały się losy robotniczych rodzin. Ojciec też zaczynał, kiedy miał trzynaście lat. Za kilka tygodni będzie obchodził złoty jubileusz pracy — tak jak Kazimierz Dudek.

zenia przybytku z wyciętym serduszkem na drzwiach.

— Na tym miejscu, jak pan widzi, porobiliśmy ogródek. Wody nie było, teraz jest w domu, gaz też podłączyli. Co by nam w tych domach brakowało? Chyba tylko centralnego ogrzewania, a o to chyba nie trudno. Przecież 50 metrów od domu jest zakład, w którym człowiek przepracował pół wieku. Podobnie zresztą jak większość ludzi z Księżego Młyna. Gdyby tak przeprowadzić ciepłą wodę z zakładu, to już by nic nam nie brakowało.

— Mąż myśli o blokach. Już nie ma siły węgla nosić. Ale ja sobie nie wyobrażam, żeby iść gdzieś indziej.

— Ja, po prawdzie, też sobie nie wyobrażam. Ale sam pan rozumie, już nie te siły. Jak wchodzi na piętro z wiaderem węgla, to muszę że trzy razy przystawać. Tak, że myśli o bloku, to mus. A ja tak chciałem, żeby już tutaj dożyć do końca. Człowiek się przyzwyczaił. Jak bym poszedł do bloków, to nie wiadomo, w jakiej dzielnicy bym mieszkanie dostał. A ja się tu wychowałem, na Widzewie, tu człowiek zaczynał robotę, tu poszedł na emeryturę, tu sami swoi co to u Scheiblera zaczynali. A tam?

Przecież już tak dużo zostało zrobione, no to może jeszcze i trochę da radę. „Autobus” mamy pod nosem, na



Fot. W. Parys

Placu Dąbrowskiego można się przesiąść i za kilkanaście minut można być w Arturówku. W zeszłym roku, latem, jak nie pojechaliśmy na wczas, to codziennie byliśmy w Arturówku.

— Mogę panu powiedzieć, że morze, góry poznałam dopiero po wojnie.

— Ja też przed wojną nie byłam ani w Zakopanem, ani nad morzem, bo mnie nie było na to stać. A dzisiejszej nocy przyjechałem z urlopu, byliśmy z synem na wczasach. Pogoda dopisała.

— Pan po tych pięćdziesięciu latach nie zerwał z zakładem — wtrąciłem, przerywając wczesne opowieści.

— Na razie, bo to drugi miesiąc dopiero na emeryturze, to chodzę rzadko. Ale ja tam zaglądać będę. Coś tam będzie ciągnąć. Pójdę trochę z kolegami, koleżankami pogadać, a to do Rady Zakładowej, do organizacji partyjnej wpadnę. Bo się człowiek żył z ludźmi. Przyszedł taki okres, że musiałem odejść na emeryturę, osiągnąłem ten swój wiek. Szkoda, że już, no, ale takie jest prawo życia.

WIADUKT NAD TUWIMA

FELIKS BĄBOL

Deszcz lał już od paru godzin chyba, albo i dłużej, a my czekaliśmy w głębokim wybetonowanym wykopie na Przewodniczącego. Czekaliśmy na Przewodniczącego, który miał otworzyć wiadukt. Właściwie, to dla niego i dla innych Ważnych Osób przygotowano coś w rodzaju malej trybuny na górze, tuż przy estakadzie, wzdłuż której przejeżdżać miały po otwarciu nowym torowskim tramwaje, a obok nich, dwoma jezdniami ciężarówki, autobusy miejskie i samochody osobowe.

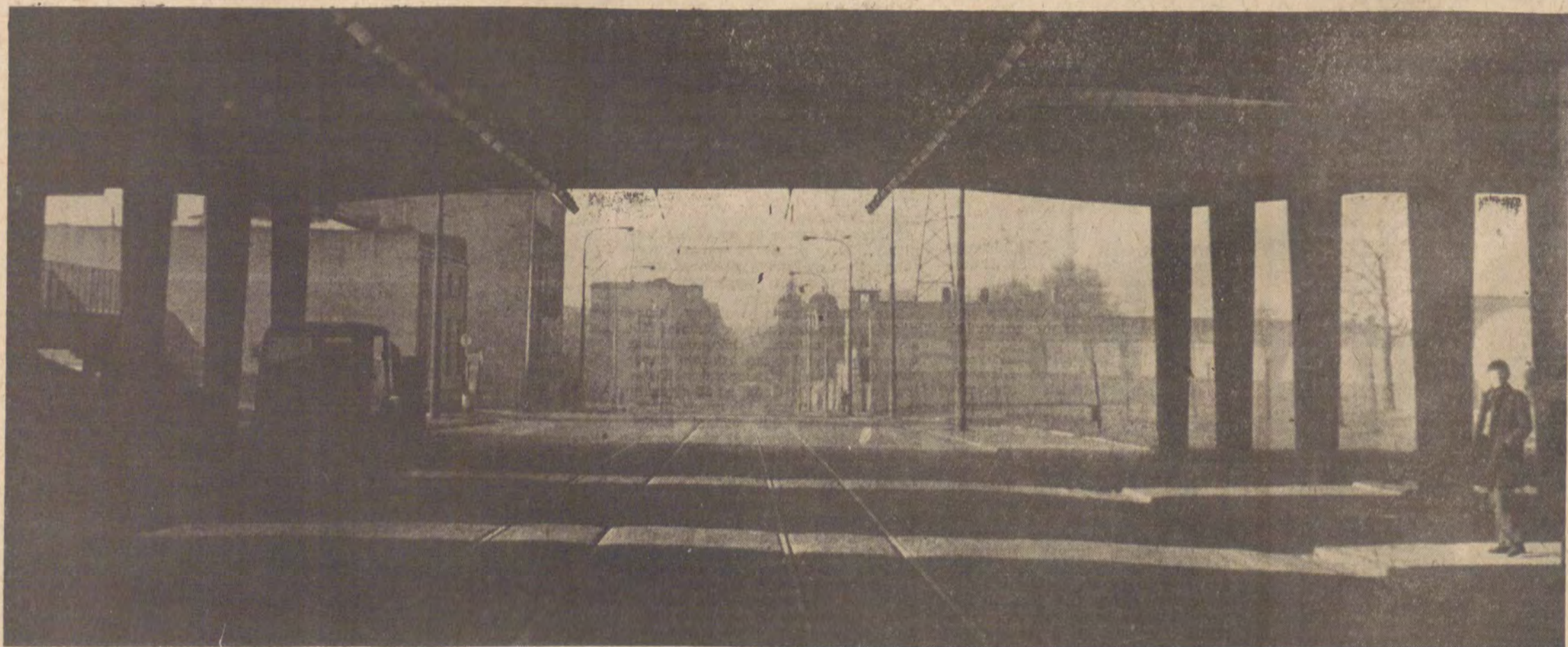
Gdy deszcz lunął rześysty, trzeba było zrezygnować z uroczystości na górze i przenieść się do nelu. Za jego betonową ścianą przejeżdżały już raz po raz pociągi z Łodzi Fabrycznej do stolicy i z powrotem. Ulewa była tak gwałtowna, że czekająca wraz z nami orkiestra musiała wylewać wodę z trąb i puzonów, bo przeciekała tu przez torowiska.

Staliśmy z podniesionym u płaszcza kółkiem w grupie znajomych inżynierów, którzy budowali wiadukt i raptem, nie wiem czemu, uchyliła się jakby zasłona czasu. Zobaczyłem na moment inną ulicę, nie Tuwima, a Przejazd, nie beton wiaduktu i estakad, a koczki lby ulicy Kopcińskiego, szlaban przecinający tę ulicę, a tuż za szlabanem wejście do parku 3 Maja.

Ulica przestała być Przejazdem dopiero po wojnie, po śmierci autora „Kwiatów Polskich” i wierszyka „Stoi na stacji lokomotywa”, którego moja córka uczyła się kilka lat temu. Przez całe długie dziesięciolecia związała się z przeszłością miasta ulica Przejazd.

Deszcz padał nadal, siekając jezdnię nad nami, mokry wiatr obmywał nam twarze, gdzieś w wlotu ulicy pod wiadukt ożyły się postacie w mokrych ortakach, widać Przewodniczący nadjeżdżał, aby przeciąć wstęgę.

Z ulicą Przejazd związały się wspomnienia dzieciństwa. Pędziliśmy wtedy na bosaka, aby z odległych Chojen zdążyć na boisko 3 Maja na mecz z bałucką drużyną „Dzikich”, aby zobaczyć niedużego plegusa — nasze bo-



Fot. W. Parys

„UŚMIECH ARIADNY”

KSIAŻKA

Literatura poświęcona Łodzi wzbogaciła się ostatnio o niezwykle interesującą pozycję, żeby już nie powiedzieć — pozycję unikalną. Konrad Frejdlch dokonał pracy dużej, miejscami pewnie benedyktyńskiej i w rezultacie otrzymaliśmy antologię reportażu łódzkiego, zatytułowaną nieco przekornie „Uśmiech Ariadny”.

Warto od razu zwrócić uwagę na fakt, że Łódź, miasto tak dla dziejów robotnika i kapitalisty reprezentatywne, nie zyskało sobie, jak dotąd, uznania historyków. Burzliwy, szybki i zagęszczony rozwój Łodzi nie doczekał się żadnej syntezy, lecz tylko prac raczej przyczynkarskich, raz cennych, niekiedy zaś zupełnie peryferycznych. Na tym tle „Uśmiech Ariadny” nabiera szczególnego znaczenia. Nie chcę przez to powiedzieć, że nasi historycy mogą spokojnie spać, ponieważ Frejdlch wszyskko za nich zrobił. Antologia reportażu, choćby i najlepsza, nie zastąpi naukowej syntezy. Na razie jednak musi.

Konrad Frejdlch ułożył antologię w porządku historycznym, zaczyna od pierwszego reportażu łódzkiego Oskara Flatta, kończy tekstami pisarzy współczesnych. Ow chronologiczny porządek sprawia, że czytając poszczególne reportaże doznajemy wrażenia, jakbyśmy poznawali dzieje miasta, jego rozwój od niewielkiej przed laty osady włókienniczej do metropolii przemysłowej. Jest to, oczywiście, poznanie dosyć ograniczone. Ograniczone chociażby nie nabył szerokiemi możliwościami samego reportażu jako pisarskiego gatunku. Ale nie tylko. To także sprawa talentu, zmysłu obserwacji, leku przed carską cenzurą, a i późniejszą z okresu międzywojennego, czy — po prostu — reporterskiego doświadczenia. I jeszcze jedno — wartość pomieszczonego w „Uśmiechu Ariadny” reportażu poszerzało lub zwężało polityczne stanowisko piszącego. Na

dobrą sprawę, jeśli mówić o reportażu do roku 1939, każdy z autorów obracał się w kręgu społecznego dramatu robotnika. Nie można było jednak ominąć, ponieważ stanowił istotę Łodzi, można było jednak rozmaicie go interpretować, zależnie od racji politycznych, które piszący reprezentował.

Oczywiście rzecz, różne to były racje. Reporterzy lewicowi lub wyraźnie sympatyzujący z rewolucyjnym ruchem robotniczym, w bardzo sugestywny sposób, na żywej tkance proletariackiego miasta ukazywali rzeczywistość — kapital nie zna ojczyzny i nie zna narodów, lecz tylko miejsce eksploatacji. Ustroju, opartego na wyzysku, nie da się przeciwstawić, jak ubranie, trzeba walczyć o jego zmianę. Nie chciałbym przecenić politycznych walorów tego rodzaju reportażu, w końcu i one pisane były ostrożnie, bez przysłówowej kropki nad „i”, zawsze jednak pokazywały Łódź jako miasto walki, trudnej lecz uporczywej, prowadzonej przez każde robotnicze pokolenie.

Frejdlch okazał się bardzo sprawiedliwy, zamieścił bowiem w swojej antologii także i oportunistyczne teksty autorów, usiłujących dowodzić, że jakieś ogólne porozumienie, wzajemna dobroć, zlikwidują problem wyzysku i nędzy. Warto i te reportaże uważnie przeczytać, świadczą one bowiem o braku jakichkolwiek argumentów na rzecz powszechnej zgody w społeczności rozdzielanej sprzecznościami klasowymi.

Osobną grupę stanowią reportaże o dużym walorze poznawczym natury obyczajowej, sięgające samego dna miasta, powszednich dni robotniczej rodziny, psychicznej struktury tak zwanego „łodzermensza”, jedynej w swoim rodzaju atmosfery „interesu”. Tu się ani żyje, ani odpoczywa — tu się plażuje, albo robi dobry interes. Reportaże tak znakomitych

pisarzy jak Ila Erenburg, Helena Boguszevska czy Pola Gojawiczyńska stanowią — jak sądzę — szczytowe osiągnięcia w zapisie reporterskim lat 30-tych. Boguszevska przebywała kilka dni w przeciętnej łódzkiej rodzinie robotniczej i pod tym wspólnym dachem dostrzegła znacznie więcej niż niejednego specjalista od grzebania w archiwum. To, co nazywamy losem robotniczym, zyskało w reportażu tej pisarki rangę szerokiego uogólnienia.

Podobnie reportaż Erenburga, panoramiczny, sięgający najbiedniejszego i najbogatszego w tamtej Łodzi, nerwowej, nie wyspanej, liczącej chude grosze i tuste miliony, znającej kursy na giełdzie, ale nie znającej „Ziemi obiecanej”, reportaż sumujący miasto, „gdzie panują miliardy, śledzie i tępota”. Erenburgowi udało się uchwycić nie tylko narastającą walkę z niesprawiedliwością, ale i technikę obrony niesprawiedliwości, w pozornie nowoczesnej fordowskiej Włdzewskiej Manufakturze... nie jest to zwykłe piekło, lecz piekło oświecone”.

Możnych tamtego świata, polityków bez czci i wiary dopadli swoim znakomitym piórem Ksawery Pruszyński w reportażu pt. „Żółci ludzie z Łodzi”. Zwalczanie rewolucyjnego ruchu wszelkimi sposobami — oto cały program polityczny przedstawiciela łódzkiej endecji.

Ostatnią część antologii stanowią reportaże mówiące o Łodzi powojennej. Frejdlch musiał mieć trochę kłopotu z ich wyborem. Reportaż rozmożnił się nad podziw w ostatnim trzydziestolecu, co nie zawsze oznacza wzrost poziomu. Obok dobrych, nośnych tekstów, chwytających pewne trendy rozwojowe miasta i jego typowe mankamenty, znalazły się także schematyczne zapisy reporterskie, chwytające przelotne mody i wiatry.

„Uśmiech Ariadny” dostarcza wielu emocji, przypomina i orientuje w niektórych fragmentach dziejów robotniczego miasta, jest więc pozycją cenną i w dużej mierze nowatorską, choć do rangi poprawnego opisu Łodzi pretendować nie może. Na uwagę zasługuje świetnie przez Konrada Frejdlcha napisany wstęp i pracowicie przygotowane noty biograficzne o poszczególnych autorach. Nakład książki wydaje mi się za niski, jeśli zważyć, że — niezależnie od tematu łódzkiego — ukazuje ona w szerszym znaczeniu rozwój naszego reportażu, co zwiększa — jak myślę — krąg tą pozycją zainteresowanych.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

„Uśmiech Ariadny”, antologia reportażu łódzkiego. Przygotował i wstępem opatrzył — Konrad Frejdlch. Wydawnictwo Łódzkie 1973.

ANNA SEGHERS

JANEK Z ŁODZI

Patrząc na Janka nie przypuszczało się nawet, ile miał on za sobą lat więzienia, wojny, nielegalnej roboty, strajków, głodówek, udanych i nieudanych ucieczek. Opowiadając, tylko po to robił przerwy, aby móc nabrać powietrza i dalej mówić.

— Mój ojciec był farbierzem w Łodzi, a moja matka tkaczką. Mojego dziadka znali wszyscy. W więzieniu siedział on kilka lat, jeszcze za cara. Brał udział w pierwszej nielegalnej demonstracji za czasów Pilsudskiego, chociaż niemalże już nie mógł chodzić; ja szedłem obok niego, chociaż nie potrafiłem jeszcze prawie chodzić. Podczas tej demonstracji aresztowano mojego ojca wraz z bratem, tak więc matka mieszkała tylko ze mną i starym człowiekiem.

Jak wiadomo, jest pewna różnica między uczestnictwem w demonstracji, gdy ta jest wzbroniona i atakuje ją policja, a czynem dokonany indywidualnie.

Pewnego dnia w młodzieżowej organizacji, do której należałem, spytano: Kto potrafiłby przedostać się w nocy przez fabryczny mur? Odpowiedziałem: Ja. Byłem najchudszy. Także i dzisiaj nie należę do ołbrzymów, ale wówczas byłem jeszcze mniejszy. Przeszedłbym nawet przez ucho od igły.

Jeśli to, do czego byłem gotowy, nie było pierwszą rzeczą, którą zrobiłem dla partii, to był to pierwszy czyn dokonany samodzielnie. Dziurę w murze przedostałem się do fabryki, a potem na komin fabryki, razem z naszym czerwonym sztandarem i kawałkiem mydła, aby policjanci obserwowali się w dół, gdy będą chcieli wspiąć się na komin, żeby zerwać naszą chorągiew.

Strażnik zaraz podniósł alarm. Ale ja wspiąłem się na mur i skoczyłem, jak kot na cztery łapy, na jedno z sąsiednich podwojek. Zaraz potem



Ilustracja — M. Lingner

robotnicy ukryli mnie w ubikacji, a gdy szczęśliwie wróciłem do domu, dziadek roześmiał się i powiedział: „Ze mną pierwszy raz nie było inaczey”.

Tłumaczył
KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

żysze piłkarskie — „Jutrzenkę”, który, zanim strzelił bramkę, potrafił „wykiwać” całą drużynę przeciwnika. Park znaliśmy jak własny. Spędziliśmy w nim niejedno lato na półkoloniach. To socjaliści w łódzkim magistracie bili się o fundusze na te półkolonie, o to, byśmy po powrocie wieczorem do domu mogli rodzicom odpowiedzieć, że tak, jedliśmy tam w parku 3 Maja obiad i podwieczorek. I to rodziców uspokajało w owych dniach i miesiącach niespokojnych, gdy ze strajku wchodziło się w strajk, gdy w ciągu roku więcej się w Łodzi mówiło i politykowało, niż robiło.

Tu, na Przejazd, miał swą siedzibę klub „Union-Turist”. Przez całe międzywojenne dwudziestolecie „Union-Turist” był klubem jak inne kluby w Łodzi — jak „Wima” założona przez fabrykanta Kona na Widzewie, jak „IKP” — ambicja i „konik” Polanaskich, czy „KS Geyer”. Dopiero w obliczu wojny, we wrześniu 39-go wyszło na jaw, że „Union-Turist” to również jaszczurcze gniazdo, to siedziba wielbicieli fuhrera. Jeszcze dawniej — na Przejazd, zaraz przy Piotrkowskiej, przed Meisterhausem, spacerowały panie majstrowe, szelest ich krochmalonych sukien miewał się z przytłumionym gwarem rozmów o nowych towarach, które wyrabiała łódzkie fabryki, o błyskawicznej karierze Scheiblera. W tym miejscu teraz „Tivoli”, restauracja, której jedynym powodem do dumy i chwały jest od ulicy rożen ze zwyczajną kielbasą i piwem. A przecież i „Tivoli” na zawsze weszła do historii...

Ale oto wstęga na wiadukcie już została przecięta. Przewodniczący wygłosił przemówienie o tym, jaka to ważna rzecz dla miasta ten wiadukt. Bez niego — wiaduktu — nie byłoby pięknej trasy Promińskiego, która teraz z omińnięciem zatoczonych ulic Killińskiego i Piotrkowskiej można skierować ruch pojazdów z północy na południe. Wiadukt i ta trasa zbliżyła Łódź do Warszawy i Śląska. Podziękował i budowniczym, którzy tu pracowali i ludziom z Widzewa, którzy w wolnych chwilach przychodzili pomagać za samą tylko satysfakcję, że mogą coś zrobić dla tej europejskiej, nowej trasy.

Ale kto wśród obecnych zdawał sobie sprawę, że trasa to tylko znikoma część ogromnego programu, wysiłku, jaki czeka miasto? Nie myśleliśmy

jeszcze wtedy, że miasto, jeśli chce śmiało spojrzeć w oczy przyszłości, musi przez cały szereg lat wypruwać z siebie wszystkie siły, żeby nadążyć za cholernie szybko rosnącymi potrzebami. Wiadukt nad Tuwima otwierał przecież w czasie, gdy tylko co trzydziesty łódzianin posiadał własny samochód, gdy jednak niepostrzeżenie zbliżała się „eksplozja” motoryzacyjna: fachowcy obliczali, że w latach 80-tych już co dziesiąty mieszkaniec Łodzi będzie „zmotoryzowany indywidualnie”.

Te refleksje jakoś współgrały z myślami i echem wspomnień. W tamtych, przedwojennych czasach, samo ukazanie się samochodu na ulicy było sensacją, nie interesowało nikogo, ile aut jest w mieście, ale — „czy wiecie, kto ma własny samochód?”

Wśród dziennikarzy okresu międzywojennego fiata 508 miał redaktor Cukier. W czasie różnych wyjazdowych konferencji prasowych on jeden tylko zachowywał trzeźwość do końca. Wszyscy dziennikarze swobodnie korzystali ze zwyczajowych poczęstunków, śniadań i obiadów przygotowywanych przez organizatorów konferencji — a pło się przy tych okazjach nie licho, często też symboliczna „lampa wina”, o której wspominało się w zaproszeniach, oznaczała pół litra na głowę. On jeden, Cukier, nie wypił nigdy ani kieliszka, był „na czczo”, bo własnym wozem wracał do redakcji. Pyszał się tą swoją trzeźwością przez parę lat, aż wreszcie pokonała go pabianicka szosa. Gdyśmy wracali późnym wieczorem z pabianickiego magistratu do Łodzi, na nierównej jezdni wpadł w poślizg i z fiata 508 zostały drzazgi.

Tylko na konferencje do Związku Restauratorów nie jeździło się samochodami służbowymi. Odbýwały się one oczywiście w lokalu samego prezesa Związku, w najlepszej według mnie, bo słynącej ze znakomitej kuchni restauracji, która mieściła się w domu przy rogu Przejazd i Killińskiego. Tej restauracji już nie ma, bo nie ma i Związku Restauratorów, łupiącego kary na niesolidnych knajpiarzy. Nie ma też już dawnej „Tivoli”, po której została tylko nazwa.

W przeddzień wybuchu II wojny światowej jakaś węgierska para tanowała tu bolero i to wspomnienie zaniosłem potem aż do obozu w Neubrandenburgu. W „Tivoli” bolero było ostatnim akordem czasu, który odcho-

dził na zawsze. W Neubrandenburgu do naszego obozu zawitał w maju 40-go roku pewien Francuz, który w plecaku zaniósł na linie Maginota bolero Ravela. Ta płyta stanowiła nowość francuskiego przemysłu muzycznego, nie wiadomo też, czy Francuz miał coś wspólnego z wytwórnia płyt, czy po prostu znalazł ją gdzieś w przyfrontowej zawierusze, dość, że przyniósł tę płytę do obozu. I tu w baraku, zaraz po godzinie policyjnej, gdy wachmani krążyli wśród świateł reflektorów omiatających obóz z wieszczek strażników — przegrywaliśmy tę francuską płytę.

To było bolero artystyczne, w którym, jak wiece, coraz to inny instrument wykonuje ten jeden, ciągle powracający motyw, w którym trąbka rozbrzmiewa coraz bardziej żałośnie... Zwykle tango bolero, tańczone na kilka dni przed wybuchem kataklizmu w łódzkiej „Tivoli”, spłótno się potem przez dziwną analogię, na długie lata z tym przetrwałym obozowym bolerem Ravela.

Z ulicy Przejazd została w pamięci postać Mecenasa. Mieszkał pod szóstą i często można go było widzieć idącego w kierunku Żyrki, gdzie na rogu Piotrkowskiej mieściła się redakcja „Kurier Łódzkiego” i „Echa”. To Mecenasa w latach trzydziestych ulokował wszystkie swe kapitały w wydawnictwie gazetowym, dbał o jego ciągły rozwój, ale „Kurier” nigdy nie przekroczył nakładu 30 tys. egzemplarzy, a „Echo”, popołudniówka konkurująca z „Expressem” — 60 tys. No, ale gazeta kosztowała dwie, albo cztery bulki i tych ludzi, którzy w Łodzi ówczesnej i gili zrezygnować z bulki czy kawałka chleba nie było aż tak wielu. Dla dziesiątków tysięcy łódzkich robotników nawet 20 groszy to był pieniądź.

Te gazety Mecenasa żyły tylko tak długo, jak długo on sam żył. Wkrótce po wkroczeniu Niemców do Łodzi Mecenasa wywieziono do obozu, skąd po paru tygodniach przyszła lakoniczna wiadomość, że „Mecenasa umarli na stojąco”.

Wracałem do redakcji po tej uroczystości otwarcia wiaduktu i napisałem o widziale. Krótko, jak kaže szanująca się agencja prasowa. Ani słowa o orkiestrze, która mokła na deszczu, ani o tym wszystkim, co to wydarzenie na ulicy Tuwima obudziło we mnie.

Łódź jest rodzinnym miastem kilku pisarzy i krytyków niemieckich. ELISABETH SZUBERT (zwróćmy uwagę na zachowaną polską pisownię nazwiska) jest powieściopisarką i tłumaczką polskiej literatury w Niemieckiej Republice Demokratycznej. W powieści „Halka i Nora” ukazała typowy los polskiej rodziny w czasie wojny. Przełożyła na język niemiecki utwory Wilhelma Macha, Józefa Bieniasza, Henryka Panasa.

W Łodzi urodził się inny znany prozaik i autor scenariuszy filmowych — JUREK BECKER, którego powieść „Jakub, kłamca” cieszy się w Niemieckiej Republice Demokratycznej dużą popularnością.

„Łódzianinem”, tym razem z Niemieckiej Republiki Federalnej, jest jeden z najlepszych znawców polsko-niemieckich stosunków literackich, czołowy translator z języka polskiego — KARL DEDECUS, którego tom studiów „Polska — Niemcy. Poślanictwo książek” ma ukazać się w bieżącym roku nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Niestety, ci ludzie pióra nie pisali o swoim mieście rodzinnym, jakkolwiek zachowali o nim mile wspomnienia. Temat łódzki stał się natomiast kanwą dla innych pisarzy, wśród których nie brak znakomitości, jak np. ANNA SEGHERS, wieloletni prezes Niemieckiego Związku Literatów. Oprócz sędziew pisarki (urodzona w 1900 roku) o Łodzi pisała także tak znani prozaicy jak MARTINA WIED — „Historia bogatego młodzieńca”, gdzie autorka zawarła wiele realiów z dawnej Łodzi, JOZEF ROTH — „Hotel Savoy”, czy wreszcie ALFRED DOEBLIN, KURT DAVID I URSULA WIEBACH. Istnieje także kilka lonych książek, których akcja dzieje się w regionie łódzkim.

ANNA SEGHERS wiele miejsca w swoich utworach poświęciła polskiej klasie robotniczej (np. znana powieść „Towarzysze”). Jest to niewątpliwie dowód uznania i dla łódzkich robotników, za ich udział w walce o lepszą Polskę, o zwycięstwo zdelegalizowanej partii

komunistycznej za czasów Pilsudskiego, o zwycięstwo socjalizmu.

Miniatura „Janek z Łodzi” jest jednym z przykładów ideowego zaangażowania łódzkiej klasy robotniczej. Tytułowy bohater opowiadania — Janek, jest jednocześnie narratorem. Opowiada o swych dziecięcych latach już jako dorosły, doświadczony działacz. W relacji Janka aresztowania dziadka urastają do symbolu walki o wolność i równość dla wszystkich.

Anna Seghers przy pomocy niewielu słów oddała wernie atmosferę przedwojennych demonstracji robotniczych, ukazała rodzinę łódzkiego proletariatu, w której trzy pokolenia są zaangażowane w wielką sprawę zwycięstwa socjalizmu. Pisarka niemiecka szczególnie podkreśla duchową więź między dwoma osobami: najstarszym i najmłodszym, symbolizując tym ciągłość walki o ten sam wzniosły cel.

Prosty język Anny Seghers harmonizuje ze sposobem narracji Janka, który w swym czynie — zawieszeniu na kominie fabrycznym czerwonego sztandaru — widzi oczywisty, naturalny gest protestu wobec sanacji. Wzruszający jest młodzieńczy zapał, pogarda dla niebezpieczeństwa i pełne oddanie partii.

Znajomość problematyki polskiej, polskich stosunków międzywojennych zawiązuje Anna Seghers swoim znajomym i przyjaciółom z Polski. W liście do autora niniejszego wspomina pisarka z sympatią o tych kontaktach, jak i o swych parokrotnych wizytach w naszym kraju, co w sumie złożyło się na jej wiedzę o Polsce i Polakach.

Łódź nie należy do miast tak zasobnych w zabytki jak Warszawa czy Kraków, ale z dumą możemy wspominać o sławnej przeszłości Łodzi, o jej udziale w walkach rewolucyjnych. Nawiazanie Anny Seghers do tego właśnie rozdziału życia Łodzi świadczy o doniosłości dziejów miasta. W nie istniejącej antologii obcych utworów o Łodzi miniatura „Janek z Łodzi” z pewnością zajęłaby poczesne miejsce.

KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

Listy do Redakcji

POPYCHANIE

W związku z artykułem zamieszczonym w „Ogłoszeniach”, dotyczącym gieldy myśli twórczej, Przedsiębiorstwo Doswiadczalne Automatyki, Urządzeń Przemysłowych „UNIPROT” wyjaśnia, że właścicielem patentu na słuchawki dwukierunkowe są Zakłady Przemysłu Bawełnianego w Zdunskiej Woli.

Przedsiębiorstwo nasze nie podjęło produkcji słuchawek na skalę przemysłową, ponieważ jesteśmy przedsiębiorstwem doświadczalnym i zajmujemy się produkcją prototypów i serii próbnych urządzeń klimatyzacyjnych, wentylacyjnych oraz sprawami związanymi z automatyką tych urządzeń.

W naszym przedsiębiorstwie wykonano próbną serię słuchawek i przeprowadzono próby w ZPB w Zdunskiej Woli. Produkcję słuchawek podejmują obecnie Zakłady Wytwarzające Głośniki „Tonsil” w Wresznie. Na rok 1974 planuje się produkcję kilku tysięcy sztuk, a w latach następnych dalszy wzrost produkcji.

Uważamy, że postawiony naszemu Przedsiębiorstwu zarzut jest bezpodstawnym. Sprawy nie pozostawiono bez bieżącej opieki i nadzoru.

Dla uniknięcia podawania niesłusznych informacji prosimy na przyszłość o kontaktowanie się z zainteresowanym zakładem.

Oczekujemy również w miarę możliwości na sprzyjające przedmiotowej sprawie na łamach „Ogłoszeń”.

inż. RYSZARD HERBE (dyrektor)

Mógłbym, jak w grze w ping-ponga, odnieć piłeczkę i stwierdzić, że postawiony mi „zarzut” jest bezpodstawnym. Do powyższych „wiadomości” z prasą warszawską — o czym wspominałem — i niech „Uniprot” ma do niej pretensje. Ale nie zrobię tego.

Dla mnie mało istotne jest, kto zajmie się produkcją słuchawek i przekaże hasła. Istotne jest, ile ich będzie, czy jest to jaskółka, która nie czyni wiosny, czy też poważny wysiłek w walce z hasłami w halach produkcyjnych. I dlatego cieszę się, że wiadomość, że w r. 1974 będzie tych słuchawek kilka tysięcy sztuk. A w następnych latach jeszcze więcej. I dlatego z całym spokojem mogę podziękować inż. Ryszardowi Herbie za tę pocieszającą informację.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W OCZACH MŁODYCH

Radni Łodzi zaprosili delegację uczniowską na swoje pierwsze posiedzenie. Jest to wypadek szczególny, świadczący o tym, że o nas, młodych myśli się perspektywnie, włączając w sprawy obywatelskie.

Do tej pory działalność rad narodowych styszyliśmy tylko od rodziców, znajomych i wychowawców szkolnych. Toczyliśmy często dyskusje uczniowskie na temat sposobu sprawowania władzy. Te zarządzenia, podejmowane, się przeżywały na lekcjach nauki, o społeczeństwie. Jednakże zawsze były to rozważania typu teoretycznego. Uczestnictwo w posiedzeniu inauguracyjnym Rady Narodowej m. Łodzi było dla nas szczególnie wyjątkowym wydarzeniem, a jednocześnie praktyczną lekcją obywateli.

Z całego rozważań nad problematyką sesji wynieśliśmy całocisną, jednolitą obraz zamierzeń radnych naszego miasta. Dotyczyłaś widzieliśmy na plakatach hasła: „Łódź zwiększa tempo”, „Obrębnie perspektywy rozwoju Łodzi”, „Łódź zmienia oblicze...”, teraz, po wysłuchaniu programu Rady Narodowej, tytuły te w naszej świadomości połączyły się w jednolitą całość — radni zamierzają uwzględnić interesy mieszkańców naszego miasta w trzech wymiarach: młodego, średniego i starszego pokolenia. Nasze zaufanie do Rady Narodowej w tym zakresie wynika z treści przysięgi, jaką w naszej obecności składali radni.

Przysięgając się obradom postanowiliśmy zebrać opinie kolegów obserwujących bezpośrednio przebieg sesji. Posłużyliśmy się metodą blaskawiczej wywiadu wśród rówieśników. Wiekowość z nich, uczniów szkoły średniej, nigdy nie brała udziału w tak podniosłej uroczystości. Wypowiedzi świadczyły o tym, że wszyscy uczynili niejako nowy krok w sferę dojrzałości obywatelskiej. Prawie wszyscy uczniowie, z którymi przeprowadziliśmy wywiad, brali udział w wyborach radnych, którzy uczestniczyli w sesji.

W blaskawicznym wywiadzie młodych wyborców wyrażano nadzieję, że radni potrafią wykorzystywać entuzjazm wyborców do pracy nad zmianą oblicza rodzinnego miasta.

Mówiono: — Jesteśmy młodzi i dużo możemy pomóc, chodzi tylko o to, by w planowaniu prace uwzględnić nasze możliwości. Dotychczas nasze „upolowanie” się” miało miejsce tylko na własnym, szkolnym podwórku, a tu front pracy jest nieco szerszy.

Podnoszono też problem przywrócenia równowagi w ekonomii czasu przeciętnego łodzianina. Argumenty były bardzo racjonalne. Pracujący rodzice uczniów, w warunkach przetrzennego rozwoju miasta, coraz więcej tracą czasu na dojazd do pracy. Jest to wynik niemożności rozwoju nowoczesnej komunikacji w miarę przestrzennego rozrastania się miasta.

Najbardziej istotne jest chyba to, że młodzi wyborcy chcą, by radni liczyli na nich. Mówiono: — Chcemy być potrzebni swym radnym i swemu miastu... Chcielibyśmy brać udział w budowie jakiejś dzielnicy, przeznaczanej dla młodych, lub magistratę przykościelną.

GRAZYNA BŁASZCZYK

BOŻENA KOWALSKA

Uczennice XXVI LO im. M. Fornałskiej

„TERESKA OD HUBALA”

Przezytałem reportaż Ryszarda Binkowskiego pt. „Teraska od Hubala” („Ogłoszenia” 31.32 z 20 grudnia 73 r.). Jeśli informacje tam podane są prawdziwe, a tak należy sądzić, to uważam, że „Teraska” — Marianna Cel, jej brata — Jana Cella i pozostałych bohaterów wsi Cis — należy uczcić jakąś trwałą formą — tablicą pamiątkową, albo może nawet jej imię drukownie harcerskiej.

mgr ZDZISŁAW DOLATKOWSKI (Warszawa)

Kiedy przybyś z Europy zawita na krótko do Algieru i chce zobaczyć Saharę, wiezie się go do BU SAADY. „Oaza szczęścia” — jak Bu Saadę nazwali Francuzi — leży w kotlinie górskiej 250 km na południe od Algieru, nad strumieniem o tej samej nazwie, spadającym ze stoków gór Ulei Nail. Handlowa oaza o ulicach biegnących wśród wysokich murów, gdzie wędrowni krawcy, szewcy i fryzjerzy, sprzedawcy dywanów, haików, noży „busaadis” i saharyjskich pantofli zachwalają towar i usługi liczny rzeszom turystów. Bu Saada otoczona pasmem gęstych palmiarni na tle skrawka wydm piaszkowych wygląda bardzo malowniczo. To już przedsmak Sahary. Oczarowany turysta unosi w oczach obraz pustyni otaczającej kwitnącą oazę jak z kolorowego filmu.

Kiedy do Algieru przyjeżdża się na dłużej, wówczas pierwsza wyprawa na Saharę odbywa się utartym szlakiem sześciu oaz tworzących zamknięte koło, w którym znajduje się również BU SAADA. Należą tu też BISKRA, TUGGURT, UARGLA, GARDAIA i LAGUAT. BISKRA — leżąca u stóp łańcucha Oresów otwiera drzwi na Saharę. TUGGURT jest dawną siedzibą królów z dynastii Ben Djellab. EL UED — miasto tysiąca kopuł, UARGLA — leżąca nad wyschniętym korytem zasypanej przez piaszki rzeki Mya, słynąca z pięknych dywanów. GARDIA ukazuje świat z innej epoki sprzed tysiąca lat. LAGUAT — po arabsku „EL AGUAT” — „miasto ogrodów”, wciśnięte w piaszczyste góry Atlasu Saharyjskiego.

PRZYSTAN NA SZLAKU KARAWAN

W EL GOLEA jeszcze przed kilku laty urwała się asfaltowa szosa, biegnąca od Algieru i zaczynająca się pełen kamieni i wybojów saharyjski karawanszjak, nieprzejezdny dla normalnego samochodu. Tkwiła tu tablica z groźnym ostrzeżeniem:

„Podróżni, udający się w kierunku In Salah i Timium, zgłoszcie swój przejazd w prefekturze El Golei. Idzie o wasze życie”.

Z El Golei nie można było do nikąd pojechać. Trzeba było wracać tą samą drogą, skąd się przybyło. I chyba dlatego oaza zachowała swą pierwotną świeżość i malowniczość. Nie zmieniła się jak tamtych sześć oaz w hałaśliwe pełne kolorowych widoków i jazgotliwych targów miejsce spotkań turystów ze wszystkich stron Algierii.

Cisza i spokój technicy opustoszałe uliczki, kiedy wieczorem przejeżdżaliśmy przez oazę szukając miejsca na nocleg. Hotel „Pod Wielką Wydmą”, leżący przy głównym placu miasteczka, był zupełnie pusty, a śpiący w drzwiach długonogi czarny właściciel przywitał nas jak długo oczekiwanych rzadkich gości. Przemierzaliśmy liczne pokoje, które kolejno prezentował nam czarnoskóry mistrz hotelarstwa Abu Akuta, starając się wybrać dla nas najpiękniejszy. Ten na pierwszym piętrze z widokiem na balkon, ze zwiastującymi pnąciami bugenwillów, wydał mu się najwłaściwszy. Z balkonu, w dalekiej perspektywie, za lasem palmiarni wzrok tonął w niezmierzonym oceanie wydm — olbrzymów. Zaraz też znalazł się pomocnik i zaczęto nam przyrządzać kolację. Byliśmy jedynymi gośćmi w hotelu i Abu Akuta wychodził ze skóry, żeby nam dogodzić. Przysiadł się do naszego stolika i rozgadał na dobre przy pieczonym króliku (!) z frytkami i karczechami, które przyniósł uśmiechnięty od ucha do ucha kędziarzawy kuchcik o wielkich ciekawskich oczach, lustrujących nas z pełnią zachwyty od stóp do głowy. Abu Akuta zachwalał nam urok

oazy, do której rzadko zaglądali goście z północy. Gaje palmowe El Golei liczyły ponad 50 tysięcy drzew daktylowych, rodzących wspaniałe owoce, a ogrody warzywne i sady owocowe rozkwitały bujnie pielęgnowane troskliwymi rękami szambanskich rolników. Najciekawszym obiektem do zwiedzania miał być stary ksar (czyli wieś) zbudowany ongiś na wysokiej skale przez plemiona wojowniczych Szaambów, zamieszkujących kiedyś okolice El Golei. Ksar spełniał rolę twierdzy obronnej, stąd powstała nazwa oazy: El Golea czyli Cyta-dela. Szaambowie — świetni jeźdźcy, łowcy antylopy, najokrutniejsi rabusie pustyni, którzy potrafili pokonać nawet niezwyciężonych Tuaregów, pobierali okup od przejeżdżających karawan. Dziś potomkowie walecznych Szaambów nawadniają palmiarnie, uprawiają ogrody warzywne i owocowe sady, w dni targowe handlują na rynku z przybyłymi z okolic nomadami.

Kiedyś wyszliśmy na wieczorny spacer, rynek otoczony białymi podcieniami i szpalerem palm daktylowych tonął w ciemnościach. Kilka skulonych postaci w burnusach spędzało czas na wieczornych pogwarkach. W środku placu stała ogromna rozmiarów zabytkowa studnia otoczona latarniami, z których tylko co trzecia się paliła. Z dalekiego meczetu ukrytego w palmiarni przypląnął przeciągły nosowy śpiew muezżina. Głos wi-brujący gamą uczuć, jak głos natechnionego proroka, brzmiał inaczej w tej scenerii cichej, uspięionej oazy niż powielane głościami modlitwy muezżinów w meczetach Algieru. Kiedy skończył się hymn ślawiący wielkość Allaha, zawtórowali mu chóry cykad ukrytych w zaroślach.

Rano obudził nas świergot ptaków (nie spotykane zjawisko w kraju, gdzie małe ptaszki stanowią ulubiony przysmak Algierczyków), a od piaszków pustyni dobiegały zawo-
dzące

ce tony saharyjskich fujarek. Daleko przed nami ścigały się aż po horyzont złote pole wydm w poświacie wschodzącego słońca wyglądało zupełnie zjawiskowo.

Wędrowaliśmy uliczkami rozległej oazy. Mijali nas czarni Szaambowie w białych i niebieskich piaszczach i zawojach, Murzyni w czerwonych turbanach nieśli na głowach kosze pełne jarzyn i owoców. Nomadzi w szarych burnusach przewijali się pędząc przed sobą osły i barany. Oaza żyła zwykłym, codziennym rytmem.

W nowoczesnej części oazy białe niskie domki inspirowane sudańską architekturą przycupnęły rzędem wzdłuż szerokiej ulicy Samotny beduin na wielbiadzie sunął majestatycznie samym środkiem chodnika. Zatrzymał się przy warsztacie samochodowym, by pogadać ze znajomkami, reperującymi ciężarówkę. Tak go zastaliśmy: zepsute ciężarówkę, a w środku wielbiad — najpewniejszy środek lokomocji.

Niecałko palmiarni odgródzonej od ulicy wysokim gliniastym murem, wyszła spoza zakrętu grupka chłop-ców w burnusach i kaszabijach z książkami pod pachą. Przystanęli na nasz widok i po krótkiej naradzie wy-delegowali najstarszego, dwunastolet-niego chłopaka o gęstej czuprynie i sympatycznej czekoladowej buzi, który nieśmiało łamaną francuszczyzną zaproponował nam towarzystwo swej grupy. Właśnie wracają ze szkoły i chętnie pokazałyby nam stary ksar albo palmiarnię czy kubby marabutów. Ubawieni przystaliśmy na pro-

pozycję i dalej w towarzystwie odzianej grupki bosonogich oberwańców powędrowaliśmy do kсарu.

Wysoka skalista góra z zawieszonym na stromych ścianach i szczycie miastem w ruinach wyloniła się zupełnie nieoczekiwanie z morza złotych wydm i palm rosnących kępami wokół białych kopuł marabutów. To stara El Golea opuszczona przez swych mieszkańców.

U stóp wierzchołka jaskiniowe grotty, wyżej dawna twierdza Szaambów. Wó z grupy, czarny Bentu, zaproponował wspinaczkę na sam szczyt. Przerzaliśmy upał odbierał nam resztkę energii, ale dzieci nalegały i prosiły, prawie żagłowały za ręce. Stroma rozpadała się przez osypujący się spod nogi gruz. Pielaliśmy się pionowo przecinając murawę ułtęzki, walczyliśmy z resztkami murów, podmyte sklepienia, ruiny domków z suszonego błota umocnionych murami rozmyte przez rzadkie gwałtowne ulewę, zwierzały w pałacych promieniach słońca. Widok ze szczytu wynagrodził wszystkie trudy wspinaczki.

Chłopcy towarzyszyli nam aż do hotelu. W szkole uczyli się tylko dodatkowo języka francuskiego, wykładowym był język arabski. Tylko najstarszy Bentu potrafił rozmówić się po francusku, reszta znała niewiele słów i dogadywali się z nami na migi. Najmłodszy Rasid miał sześć lat, śmieszny białokory Arabek w białej keszulnie do pięt dreptał nie mogąc nadążyć, straszliwie przejęty naszym towarzystwem. Bentu mieszkał dawniej w Oranie. Obecnie rodzice osiedlili się na stałe w El Golei. Czarny Bentu tęskni za morzem, chciałby przyjechać do Algieru, którego nie zna, prosi, żeby mu opowiedzieć jak tam jest. Byli oczarowani i uszczęśliwieni zawartą z nami komitową. Nie liczli wcale na podarki. Zresztą niewiele mieliśmy im do ofiarowania: torbę cukierków, parę kolorowych komiksów francuskich. Rano przyszli wszyscy, żeby nas pożegnać. Pomogli znieść bagaże, lokując je z pietyzmem w bagażniku.

odkryte, nieopisane i niezbadane do końca.

W swej pozornej prostocie, w przekornym infantylizmie tego piarstwa kryje się mądrość. Mądrość syna starożytności i daleko w czas historyczny sięgającej kultury. Saroyan odkrywa przed nami prawdy nieskomplikowane, jednak zawsze tak samo istotne, bo fundamentalne, niezależnie od czasu i miejsca, w którym jakikolwiek pisarz zabiera głos. Warto przytoczyć tu pewien mały dialog z Książką.

— W tym cała bieda z wami, pisarzami. Nie wiecie na czym polega wasza robota.

— Na czym?

— Pomóc mężczyznom, żeby byli mężczyznomi, o to chodzi.

— A co z kobietami?

— Pomóc im, żeby były kobietami

— A dzieci?

— Dzieci wiedzą, jak być dziećmi”.

Ani słowa za dużo, ani słowa za mało. Saroyan gada tak z nami na 197 stronach Książki. Gada, jak stara kumocha. Okropnie lubimy tak gadać. O wszystkim i o niczym. A

Jeszcze tylko pamiątkowe zdjęcie i odjechaliśmy żegnani przez naszych młodocianych przyjaciół, Abu Akutę, kuchcikę i dwu nomadów na wielbiadach przybyłych w odwiedziny do hotelarza. Chłopcy biegli za samochodem wołając:

— Przyjdźcie do nas jeszcze!

— Jak wybudują nową drogę za El Golei! — odkrzyknęliśmy.

MINĘŁO PÓŁTORA ROKU. W tym czasie wybudowano wiele dróg na Saharze na miejscu dotychczasowych szlaków karawanszjaków. El Golea stała się węzłem przelotowym ważnym punktem na skrzyżowaniu handlowych i turystycznych szlaków.

Wybraliśmy się na południe Sahary w dolinę Saury do Tuatu — na naszej trasie znalazła się El Golea. Z pewnością niepokojem zbliżaliśmy się do oazy, która przywitała nas wtedy tak gościnnie i wiązała się z ylu miłymi wspomnieniami i towarzyszyły nam pustynny reg i ozdobna tablica: „Witajcie w El Golei”. Przejeżdżamy szerokie zupełnie nam nieznane ulice wypełnione wielobarwnym tłumem turystów i przyjeżdżających i wydaje nam się, jakbyśmy zmylili trop i zjawili się nie tam, gdzie chcieliśmy. Rynek i „nasz” hotel ledwie możemy rozpoznać. Kolorowe ruchome reflektory oświetlają zabytkową studnię, przed hotelem mnóstwo samochodów. Rozwieszono plakaty ogłaszające festiwal folkloru, mający się odbyć dziś na krańcach miasta. Z licznych głościków wali wrzaskliwa muzyka arab-

EWA BEKIER

Wchodzimy do hotelu. Szukamy wzrokiem Abu Akuty. Jest — ten sam! Długonogi, czarny hotelarz. Uśmiechamy się do niego. Patrzy na nas jak na obcych — w ogóle nas nie poznaje. Drapie się w głowę usiłując sobie przypomnieć.

— Tak, tak, tyłu ludzi się tu prze-winęło. El Golea to teraz wielkie miasto. Bogate — dodaje z dumą — już nie to co dawniej.

Pokój dostajemy ciemny, mały, ale tylko taki jest wolny. Służba uwiija się między zapełnionymi stolikami w restauracji. Muzyka, gwar ruch.

Wychodzimy z hotelu, szukamy naszej drogi do kсарu. Ulica w przebudowie, pełno gruzu, hałasują betonarki i dźwigi. Nie ma starej oalmi koło kościoła, po której, wytyczym pniu wspinął się nasz Tomek. Nie ma cichej uliczki obrosniętej bugenwillami, w których trelowały stada cykad. Tablice wskazują drogę do sklepu z „artisaną” — elegancką magazyn ze srebrnymi ozdobami — ceny jak w Algierze.

Strzałki prowadzą oświetloną ścieżką do kсарu. U stóp kсарu dopada nas tłum wyrostków. Jedni proszą o pieniądze, inni pomagają się papie osów, mniej cukierków. Popychają się krzykliwi, kłótlivi tłumki: czarni i śniadzi chłopcy jeden przez drugiego obcesowo napraszają się, by ich wynająć jako „gulidów” (przewodników) do zwiedzania oazy. Są pewni siebie, natreni, hałaśliwi. Nauczili się żerować na najwęższych turystach, szukających rozrywki i atrakcji w nobilitowanej na krórot starej osadzie — Cytadeli. Z trudem wyrwywamy się z rąk czeplających się „gulidów”.

Wczesnym rankiem ruszamy dalej w drogę. Nie żegnani przez nikogo. Tylko czarny boy znosi nam walizki wyciągając rękę po napiwek. Może gdzieś dalej na południu odnajdziemy znów oazę w jej pierwotnym uroku — szczęśliwą przystań i wytchnienie ludzi i wielbiadów na karawanowym szlaku.

KSIAŻKA

przecież jest to piarstwo oszczędne, zdyscyplinowane, w którym każde słowo spełnia swój cel — wyjaśnia akurat to, co pisarz zamierzał wyjaśnić sobie i gawędząc z nim czytelnikom.

Saroyan jest pisarzem bardzo amerykańskim, nie zgubivszy nic z mądrości ludów Wschodu. Z połączenia tych dwóch kultur, młodej, ze starą, armeńska wyszło zjawisko piarstwa Saroyana. Bardzo współczesne i gdzieś, na samym dnie — tracące muzykę. Piarstwo, które smakuje, jak odstawa, armeńskie wino. Po lekturze Książki Saroyana człowiek ma lepszy humor, jest spokojniejszy i wszystko wydaje mu się łatwiejsze, chociaż pisarz nie koloruje sztucznie świata. Jest to sprawa światła na jego obrazie.

BARBARA NAWROCKA-DOŃSKA

„WSZYSTKO I NIC”

Na czym polega urok Książki Saroyana? Można by odpowiedzieć drugim pytaniem „na na czym polega urok świetlistego obrazu?”.

W PIW-owskiej serii KIK wyszła właśnie powieść Williama Saroyana pt. „Pewnego Dnia i Zmierzchu Świata” (Warszawa 1973). Tytuł sugeruje zmierzchanie, odesłanie, śmierć. Ale u Saroyana nawet sprawy smutne promieniają łagodnym, ciepłym światłem życia. Ten pisarz nie ukrywa dwóch rzeczy, że pisze zawsze tylko o sobie i że pisze „bez pomysłu”. O wszystkim i o niczym.

Trudno w istocie doszukać się fabuły, fabulki, czy tak zwanego wątku, albo akcji w Książkach Saroyana. Trudno też byłoby znaleźć sytuację, czy człowieka który by nie żył, nie egzystował, nie gadał, nie monologował, albo nie myślał w rzeczywistości tak samo lub podobnie, jak przypadkowi bohaterowie opowieści Saroyana.

Pojawia się więc natychmiast kolejne pytanie, skoro Saroyan pisze Książki bez akcji, skoro dzieje się w nich to, co dzieje się wszędzie, zawsze i co wszyscy niemal znamy na pamięć, dlaczego powieści tego pisarza czytają się, jak najlepsze romansy, jak najciekawszą historię przegodową? Ano, bywają ludzie o tak bogatej osobowości, że starcza ona za romans i za przegodę. To jest właśnie przypadek Saroyana.

Diabelnie nas interesuje, dlaczego pisarz boli głową, kiedy i w jakiej przyczynie boleć go przestaje. Asystujemy przy rwaniu piarskiego zęba i bierzemy udział w jego kłopotach rodzinnych. Razem z nim wyklócamy się z jego wydawcami o stawke autorską. Zaczynamy tak samo jak on lubić dzieci, zwierzęta, kwiaty i kobiety. Nabieramy smaku do życia, każdego przejawu życia, które dla Saroyana jest wielkie, święte, zawsze pełne tajemnicy, nigdy nie-

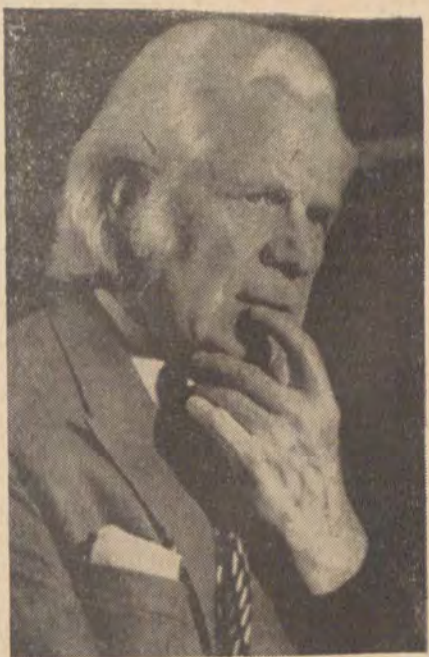


Foto. A. Brustman

Rozmowa trwała długo. Bardzo długo, bo z panem FELIKSEM ŻUKOWSKIM gawędzić można godzinami i zawsze starczy tematów. Jak klucz dobać tego wywiadu? Zawsze pozostanie przecież wrażenie niedosytu. W kilkudziesięciu wersach nie pomieści się wszystkich wspomnień i uwag o 50 latach pracy scenicznej. Chciałem, by w naszej rozmowie na plan pierwszy wysunęły się refleksje aktora o widzach i o wszystkim, co kontaktowi między widzami a sceną służy.

Ale zacznijmy od teatru...

Teatr miał i ma szczególne zadania. Przekazuje wartości moralne, ideowe, wychowawcze, estetyczne, słowem szeroko pojęte wartości kulturowe. Świątynia Melpomeny. W tym określeniu jest wiele racji. Oczywiście nie wolno przesadzać. Mówił Osterwa, że dobrze byłoby nas, aktorów, odizolować murem od świata, zamknąć w aktorskim zakonie. To chyba błąd. Bo z kontaktu z rzeczywistością i współczesnością aktor, jak i chyba każdy artysta, czerpie najwięcej materiału do swej sztuki. Niemniej jestem przekonany, że aktorzy są i być też winni być swego rodzaju kapłanami, a teatr świątynią.

Zarówno dla teatru jak i dla aktora wynika z tego pewne konsekwencje?

Teatr winien być przestrzenią odizolowaną (nie wierzę w sceny funkcjonalne), budynkiem pięknym, funkcjonalnym. Sądzę, że ważne są tu i takie detale, jak wygodny fotel, foyer. Mamy naszą rozmowę skierowaną na temat widza i widzów. I dlatego właśnie podkreślam znaczenie budynku teatralnego. Istotne są w nim wszystkie szczegóły, które rozbudzają w widzu poczucie „innosci”, święta, co zarazem jest podsta-

wą wspólnego szacunku. Aktor winien dbać o szacunek widza, a więc nie dać się eksploatować łatwo i wszędzie.

Teatr, aktor, przedstawienie powinni poruszyć w widzu ukrywaną często strunę. Trudno nazwać ją jednym słowem. Składa się na nią wiara w dobro, piękno, szlachetność.

Jakie środki są znaczące przy poruszaniu tej „struny”?

TRAFIG WE WŁAŚCIWY TON

Generalnie rzecz biorąc — prawda. I jej też musimy szukać od początku naszej pracy.

Te początki bywają różne w różnych teatrach. Znamy przykłady budowania spektaklu na scenie, są reżyserzy, którzy uważają, że 30 prób to maksimum, inni że minimum...

Twierdzą, że prawdziwym początkiem pracy nad przedstawieniem są próby czytane, analizy zespołowe. Słowo, jego walory brzmieniowe już tu narzucają pewne reguły gry, tworzą kontakt między postaciami.

Ten kontakt jest chyba korygowany warunkami przestrzeni scenicznej, zabudowania jej, scenografia, rekwizytem?

I wieloma innymi rzeczami, ba! nawet tak zdawałoby się nieważnymi jak kostium czy zminka.

Czy nie za wiele przeszkód na drodze uzyskania prawdy?

Oczywiście, ale te przeszkody potraktować należy jako sprzymierzeńców. I dlatego już na probie czytanej, analizie utworu powinni być obecni wszyscy zaangażowani w dany przedstawienie. Nie tylko reżyser i aktorzy, ale scenograf, projektant kostiumów czy muzyk. Tu zaczyna się dbałość o wagę każdego planu pierwszego i tego ostatniego. Ponadto, znów posługuję się słowami Osterwy, prawdę powiem, powinien znaleźć aktor w sobie. Wiadomo przecież, że istnieją w nas pierwsi, stłumić i dobrą, podłość i szlachetność itp. W zależności od postaci stworzonej musi aktor odnaleźć je. Zawód aktora jest pracą twórczą, a nie odtwórczą. Nie odtwarzamy wzorca postaci, ale ją poprzez siebie i wszystko co z nas tworzymy. Nigdy się nie zgodzę z określeniem pracy aktora — „odtwórczą”.

Termin — praca odtwórcza — powstał przed wieloma wiekami. Był chyba pochodną definicji tragedii jako „naśladowczych przedstawień czynności...”, stosowany był w innym kontekście. Potem zaczęto nieopatrnie rozumieć go jako zarzut. Dziś, jak sądzę, nikt już nie ma wątpliwości, że aktor tworzy postać...

Od tonu, barwy słów — po gest i ruch. Od znaczenia dźwiękowego po fizyczne i plastyczne. Bo plastyczność to sprawa również ogro-

wnie ważna jak wszystko, co rozbudza wyobraźnię. Środki te muszą być spójne z prawdą. To wymaga wiele pracy i technicznej sprawności. Nawet to co ma wyglądać na przypadek, na gest wydawałoby się nieświadomy, musi być tak opracowane, by w trakcie jego odbioru nie powstało wrażenie fałszu. Jaracz mówił, że aktor winien panować nad sobą jak wirtuoz nad instrumentem

na którym gra. — Zdolny jest zawsze odnaleźć konieczny ton.

Tę zasadę warunkuje swego rodzaju „rozdwojenie postaci”. Wirtuoz ma instrument, aktor siebie i tylko siebie. Dopuszcza więc Pan możliwość samokontroli scenicznej?

Ja nazywam to „być na scenie w astralu”. Ważna umiejętność — stanąć jakby nad sobą i obserwować siebie. Wtedy jest możliwość wyzucia widowni. Widz usłyszy, dostrzeże każdy fałsz. Najszybciej widź, którego krzywdząco nazywa się widzem „niewyrobionym”. On również najszybciej okazuje swoje odczucia. Najwyraźniejszy przykład to widz dziecięcy. Nigdy nie toleruje fałszu. Te najprostsze reakcje widza i widowni są dowodem podstawowego zadania zawodu aktora — odkrycia prawdy postaci, umiejętności przeniesienia tej prawdy na słuch, oczy, duszę, serce, intelekt widowni. Konieczne jest sugestywne działanie na odczucia widza. Siłą własnej sugestii sprawdzać może aktor najłatwiej wtedy, gdy jest sam na scenie. Kiedy wszystko zależy od niego. Każdy ruch, gest, słowo jest sygnałem dla widowni i na prawach sygnału odbitego od przeszkody wraca do twórcy. Aktor nie ma więc prawa gniewać się na widzów. To nieprawda jeśli ktoś z nas za kulami mówi, że dziś mamy złą widownię. Nie, to my dziś nie gramy, nie potrafimy, jak to się mówi, porwać widownię. Nasza wina. Nie trafiliśmy we właściwy ton, złą obraliśmy tonację, złe natężenie.

Zauważyłem, że często podkreśla Pan wartość słowa, tekstu. Mówiliśmy także o próbach czytanych. A więc, jak sądzę, jest Pan zwolennikiem zgodności z autorem sztuki. Co sądzi Pan o tych zjawiskach w teatrze, które określa się mianem eksperymentu?

I w tej kwestii nie odlegliśmy daleko od tematu: widz — widownia. Zdarza mi się często na spotkaniach usłyszeć pytanie dlaczego załóżmy ten Słowacki w teatrze nie jest Słowackim z lektury. Utała się, szczególnie w ostatnich latach, zasada eksperymentowania dla samego tylko eksperymentu. Nie, nie jestem przeciwny eksperymentowaniu w ogóle. To dobrze, że mamy w Polsce tyle modeli teatru. Wszelkie nowatorskie

Wobec skąpej akcji, tylko piękny i wyrazowy śpiew mógł podtrzymać napięcie słuchacza. Udało się to w znaczącym stopniu Jerzemu Jadcakowi (Menander), który, zwłaszcza na pierwszej premierze, śpiewał bardzo dobrze. W tytułowej roli Filenisa dobrze wypadła Kira Andrus, która swój śpiew, szczególnie pięknie brzmiący w górnym rejestrze, umiała nałożyć dużą ekspresję. Tej dramatycznej sily wyrazu brakło mi trochę u Haliny Romanowskiej. Zarliwym patosem przepolił swą partię Roman Werliński (Hermias), tworząc ze świetnie dysponowaną Marią Szczucką-Kudanowską znakomitą parę tragicznych kochanków. Nieco słabiej zaprezentowała się para: Jan Kunert — Danuta Salska, mająca jednak (jak wszyscy zresztą solści w duetu drugiej premier) utrudnione zadanie z powodu znacznie gorszej, zbyt głośnej, gry orkiestry. Mocnym punktem obsady był Stanisław Michałowski (Teodas), także Tomasz Pitas, występując w tej samej roli, pozostał dobrym wrażeniem. Ważna, choć krótka rola Dromona grali z powodzeniem Adam Duliński i Zbigniew Borkowski.

Starannie do swych zadań przygotowany chór, ze względu na rozstawienie w dużym rozrzucie, brzmiał niedobrze. Styszało się bowiem raczej poszczególne grupy z bardzo silnymi, wybijającymi się sopranami, aniżeli harmonijną całość. W orkiestrze wyróżniła się „blacha” i bardzo w tej operze eksponowana harfa. Nie wiemy, jak wyglądała oryginalna partitura Statkowskiego. Wszyscy recenzenci zgodni jednak podkreślali wyjątkową kolorystykę orkiestracji. Nawet nieskory do pochwał Zygmunt Noskowski zdobył się na słowa wysokiego uznania: „Instrumentacja, wszędzie barwna i zajmująca, zawiera doskonałe pomysły. W orkiestrze życie, a nie ma przeladowania, śpiewacy nie potrzebują więc wylać się na to, aby ich słyszano i rozumiano”. („Echo Muzyczne” 1903). Nowa orkiestracja Bogdana Pawłowskiego nie zasługuje na tak wysoką ocenę. Jest na ogół bezbłędna, wykazująca rzetelność i umiejętność operowania poszczególnymi grupami (bardzo dobrze brzmiące blachy) i łączenia różnych barw, nie wykracza

TEATR

dążenia świadczą o jego żywotności. Ale szczególnie tu wymagana jest uczciwość. Jeśli nie mam ambicji eksperymentowania, predyspozycji do tego, zdolności, to nie eksperymentuję na siłę, dlatego, że jest to modne i czyni mnie popularnym. W związku z tym mam pewien żal do krytyków i recenzentów — potęgują sztucznie głód eksperymentu. By rozumieć i doceniać eksperyment trzeba znać podstawę będącą punktem odniesienia i punktem, od którego się odchodzi. Równie ważna jak nowatorskie poszukiwania i czy nie ważniejsza jest więc ta tradycyjna robota — byle była dobra, szczerą i prawdziwą.

Zbliża się 29 rocznica wyzwolenia Łodzi. Chciałbym zapytać o rok 1915, o tamte dni.

O! To można by napisać wielki artykuł — wspomnienie na ten temat. Wie pan, to prawda, że można się drugi raz narodzić. Wtedy wróciłem do Łodzi chory, z obozu Sachsenhausen-Oranienburg. W tym mieście wyjechałem młodym. Lekarzami byli nie tylko uczniowie Hipokratesa, ale i widzowie, środowisko. Myśmy się po latach odnajdowali, nie tylko my, znajomi czy krewni, ale my aktorzy z widzami. Proszę mi wierzyć zaczęliśmy byliśmy w sklepach, kawiarniach przez zwykłych ludzi. Do dziś pamiętam rozmowę z doróżkarzem o spektaklu, który oglądał w Teatrze Wojska Polskiego. Takich przypadków było więcej.

Sądzę, że świadczą to nie tylko o serdeczności, entuzjzmie ludzi tamtych dni...

Wiem o czym pan myśli. Tak, ludzie chodzili do teatru. Przecież nie było kolporterów, wciskanych zakładom pracy przedstawień (głowi sprawiedliwości, nie było telewizji). Ale przede wszystkim był wysmienity teatr. Zresztą Łódź była wtedy stolicą kulturalną Polski. Tu spotkali się najwybitniejsi twórcy, artyści nie tylko teatru. Te lata są najlepszym przykładem wielkich możliwości kulturowych, wielkiego zapotrzebowania na kulturę w tym mieście, i możliwości prężnego rozwoju kultury. Wiadomo było, że kiedyś nastąpi exodus ludzi sztuki i kultury do odbudowanej stolicy. Dlatego jednak „pozwała się” na ucieczki wielu wartościowych ludzi również i dziś. To przykre zjawisko, zubożające miasto i wręcz obrażające jego mieszkańców. Dopóki będziemy wypuszczać bezczynnych ludzi, dopóty narzekać będziemy na zbyt małą aktywność kulturotwórczą ośrodka łódzkiego.

Od wspomnień z 1945 roku wróciliśmy do dnia dzisiejszego. Tą refleksją pełną obaw i przestróg na przyszłość chciałbym zakończyć rozmowę z Panem.

Rozmawiał:
PIOTR SŁOWIKOWSKI

MUZYKA

Jednak ponad poprawność. W sumie lepiej wypadły podkłady orkiestrowe dla wokalistów (choć i faktura jest tu przeważnie zbyt gęsta) niż orkiestrowe tufi, brzmienie dość szaro, bez blasku, co wiąże się głównie ze sposobem wykorzystania smyczków. W ostatecznym jednak rezultacie partia orkiestrowa brzmi niezły, w wielu miejscach nawet bardzo dobrze, co w znacznej mierze jest zasługą Bogusława Madeja, który z wielką starannością przygotował operę muzycznie i prowadził całość z dużą wrażliwością i nerwem.

Głównym elementem dekoracji (M. Stańczak) jest fronton świątyni Pallas Ateny. Tu rozgrywa się główne wypadki w prologu. W następnych aktach z imponującą budowlą pozostają tylko ruiny (?), zza których widać bardzo niebieskie morze. Jeszcze bardziej jaskrawe są kostiumy, skądinąd piękne, kojarzące się nam jednak raczej z przeplechem Wschodu niż greckim umiarem. Dla równowagi — wpływy zachodnie zaznaczyły się w uzbrojeniu rycerzy. Dajmy jednak spokój szczegółom i spróbujmy podsumować ogólne wrażenia.

W realizacji opery „Filenis” włożono wiele rzetelnego wysiłku. Wbrew opinii niektórych recenzentów uważam, że warto było podjąć ten trud przede wszystkim ze względu na niezaprzeczalne walory muzyczne dzieła. Mogą one jednakże przemówić do słuchacza tylko przy osiągnięciu wysokiego progu wykonawstwa. Nakładła to na wszystkich artystów i tych śpiewających na scenie i tych grających w kanale szczególnie dużą odpowiedzialność.

ZYGMUNT GZELLA



SPRAWA WAŻNA

Piszę ten list w sprawie północnych hełanko, takich ciepłych na okres zimowy. Są w różne wzory, ale cóż z tego, kiedy są bardzo długie, skręcają się na nogach. Hełanko powinny być krótkie i rozciągliwe. Wzory są zbyt ciężkie i zwykła siatka wystarczy. To wstyd, żeby w przemysłowej Łodzi nie było takich północnych. Mam północnych, ale nie mam w czym chodzić. Dawniej były dobre północne.

Proszę o umieszczenie tego listu na widocznym miejscu, bo to jest ważna sprawa.

EMERYTOWANA
NAUCZYCIELKA

* + *

GDZIE POCZUCIE OBOWIĄZKU?

Otrzymałam kolejny list od naszej Czytelniczki, B. Karasińskiej z Pabianic. W liście z datą 7.1.1974 r. pisała ona: „Najmocniej przepraszam, ale moja Redakcja będzie mi mogła pomóc obudzić „Ruch”, który jest bardzo nieruchomy. Święta minęły, sylwester minął, ferie zimowe też minęły i młodzież przystąpiła do pracy, a „Ruch”? Do tej pory nie otrzymałam „Ogłoszeń” z 3.1.1974 r. Dziś listonosz, nim podał gazetę, od razu, by nie słyszeć mego pytania, powiedział: „Ogłoszeń” nie ma”.

B. Karasińska — jak wspomniała w poprzednim liście jest osobą chorą i nie może sama chodzić po gazety do kiosku. Wydawałoby się, że w tej sytuacji osoby odpowiedzialne za prenumeratę „Ogłoszeń” nadejść wyjątkowo i przeproszą swoją klientkę za zaniedbanie obowiązków. Tak przynajmniej nakazywałby dobry obyczaj.

Jeśli więc nie można już wymagać poczucia obowiązku przy spełnianiu czynności zawodowych, to apelujemy do dobrej woli i ludzkich uczuć tych, którzy odpowiadają za terminowe i regularne dostarczanie prasy p. B. Karasińskiej, aby zrozumieli ten trudny położenie i nie sprawiali jej kłopotów.

Mamy nadzieję, że tym razem apel nasz poskutkuje.

REDAKCJA

* + *

„KRONIKA TOWARZYSKAT”

W „ODGŁOSACH” nr 842 (3.0.74) ukazał się list Andrzeja Gruna „Kronika towarzyska?”. List dotyczył mojej osoby, wernisażu Włodzimierza Finka oraz dwóch zaprzyjaźnionych krytyków, znakomitego Karola Barczewskiego i podpisanego, pod listem, Andrzeja Gruna.

Taktyka wzajemnego podpierania się stosowana przez obu krytyków tworzy sytuację twórczą godną każdej kroniki. Historia omawianego wernisażu i związanej z nim korespondencji przedstawia się następująco: Nieobecny na wernisażu Karol Barczewski atakuje artystę. Nieobecny na wernisażu (człowiek) Andrzej Grun atakuje broniących artystę przed nieobecny Karolem Barczewskim.

„Sapientis sat” — pisał do redakcji Andrzej Grun. Co prawda, w książce Czesława Jedraszko „Zacina na co dzień” powiedzenie zapisane jest jako „sapientis sat”, a autor już we wstępie do swojej książki zaznacza: „Znajomość języka łacińskiego w społeczeństwie polskim stopniowo zanika. Starsza generacja wykształcona w szkołach humanistycznych wymiera...” Mogę zresztą przyjąć, że dodatkowe „s”, nieobecność krytyka na wernisażu i bezsilne „gesty towarzyskie” jednego z uczestników — to zwykłe błędy techniczne, mające podobną wartość kulturalną. Sapientis sat. Ale co oznacza pisanie listów przez Andrzeja Gruna w stylu „co by było, gdyby”. Logika tej dyskusji zamyka się w jednym łacińskim zdaniu: „kte mówi to, co chce, usłyszysz, czego nie chce”.

Czesław K. Borkowski

DO REDAKCJI: List Czesława K. Borkowskiego publikujemy jedynie na tej zasadzie, aby zatakwowemu dać możliwość odpowiedzi, choć nie uważamy, aby była to odpowiedź dotycząca meritum sprawy. Być może dyskusowanie o tym, gdzie kto był, gdzie kto nie był, co robił i czego nie robił polemizmom sprawia wyjątkową przyjemność. Czytelniczka jednak może znużyć. Dlatego też dalszej wymiany listów na łamach „Ogłoszeń” nie będzie.



K. MITRO

Bez podpisu

„FLENIS”

„Romans gdański”, „Tragedia o Janie i Herodzie”, „Białowłosa”, „Henryk VI na łowach” a teraz „Filenis” — ten ciąg utworów w pewnej konsekwencji — linie programowa, a przynajmniej jeden z głównych kierunków polityki repertarowej Teatru Wielkiego, jakim jest prezentowanie publiczności nowych, a także dawnych zapomnianych oper polskich.

Partytura i materiał orkiestrowy „Filenis” — Romana Statkowskiego (1881—1939) zaginęły w czasie ostatniej wojny. Pomysł rekonstrukcji partytury i wystawienie tej od wielu lat nie granej opery przynosi zaszczyt Teatrowi Wielkiemu. Szkoda jednak, że okazji tej nie wykorzystano do wprowadzenia pewnych zmian, które sugerował już przed 70 laty Antoni Miller, recenzent muzyczny „Przeglądu Tygodniowego” (1904), doradzając kompozytorowi przerobienie libretta „pod kierunkiem dobrego znawcy sceny... wygra na tym — dowodził — intensywność wielu ustępów dramatycznych...”. Szkoda, że i w najnowszej łódzkiej realizacji „Filenis” ujawniły się niedostatków konstrukcyjne, które wskutek wprowadzenia pewnych skrótów i niejasności inscenizacyjnych jeszcze bardziej zostały pogłębione.

Oto np. w prologu ginie z rąk Menandra pierwszy archont Sidy, Teodas. Następny akt rozpoczyna się od sceny powrotu Menandra z wygnania do ojczyzny. Widz nie rozumie, dlaczego zwycięski ramachowiec znalazł się na wygnaniu. Tymczasem sprawa jest prosta: po początkowym niepowodzeniu zwolennicy Teodasa uzyskali przewagę i zmusili słabych do ucieczki. Ten ważny epizod realizatorzy po prostu pominieli, a cała pieknie zresztą rozwijająca się scena zbiorowa, została w ten sposób pozbawiona właściwego zakończenia. W pierwszym akcie ofiarą skrótów padł piękny chór rybaków, pozostawiono zaś niemal niekiedy przydługie duety, w drugim akcie natomiast zmieniono zakończenie, skreślając samobójczy skok Filenisa do morza. Tu nie

wnosząc sprzeciwu, bo rzeczywiście dosyć już było tych trupów na scenie. Dobrym pomysłem inscenizacyjnym było zdublowanie wokalnego tercetu Mojr przez grupę baletową. Tańczące boginie nieubieganego Fatum zjawiają się we wszystkich węzłowych momentach dramatu, nadając mu pewną kompozycyjną zwaśność. Nie należy intencje reżysera (Antonia Majaka) i choreografa (Witolda Borkowskiego) nie zostały skorelowane z działaniem scenografa (Marian Stańczak), który zaprojektował zupełnie inne kostiumy dla śpiewaczek, inne dla tancerzek, co ogromnie utrudniło ich identyfikację. Na domiar złego usytuowane w głębi śpiewające Mojr nie są dobrze słyszalne. Kiedy zminka, słuchacz dowiaduje się od Filenisa, że przeżyła okropną chwilę. Dziwi się, bo znowu nie ma zauważyć. Tymczasem stała się rzecz bardzo ważna: jak wynika z libretta, w tym właśnie momencie zawiązuje się konflikt metafizyczny: Mojr uwalniając życie małego Hermiasa od pielegnacji ognia w lampce oliwnej, która (niestety) tylko werbalnie wręczają Filenisa. W końcu I aktu po gwałtownej sprzeczce matki z synem, Filenisa — według wersji oryginalnej — rozbiła lampę. W nieco zmienionej inscenizacji łódzkiej czyni to tańczące Mojr. Ten finał I aktu, odbudowany pełną wyrazu muzyką, jest zresztą chyba najpiękniejszą sceną całej opery. Inszenizacja całej tej historii z piórem — symbolem życia Hermiasa — jest jednak od samego początku nie bardzo czytelna. Złowroga wróżba dopełni się w akcie II. Hermias ginie z rąk Menandra.

I to już wszystko, co w sensie akcji dramatycznej dzieje się w obydwu aktach. Resztę wypełniają duety ustawione przez reżysera bardzo statycznie (z wyjątkiem świetnie rozegranego, dynamicznego sceny rozmowy Filenisa i Hermiasa), śpiewane w koturnowych pozach, które być może w tej archaizującej operze mają swe uzasadnienie, nie przemawiają już jednak do współczesnego widza.

PIERWSZY DZIEŃ WOLNOŚCI

Grzmotnęło blisko. Zbyt blisko jak na pierwsze zetknięcie siedemnastolatka z prochem, w rezultacie czego otwierana właśnie puszcza z młotem wyskoczyła Jurkowi z rąk, a jej zawartość rozlała się po czystym obrusie.

Rozgorączkowaną ciotką kontynuowała opowiadania o płonącym więzieniu na Radogoszczu:

— I kiedy SS-mani rozłali wszystką benzynę po salach, po klatce schodowej i gdzie się tylko dało, wtedy rzucili zapalone szmaty do środka budynku, a sami zajęli miejsca przy czterech karabinach maszynowych rozstawionych na rogach podwórza. Z kłębow dymu wydobywających się początkowo z korytarza, a później z okien zaczęli wyskakiwać więźniowie. Tych, którzy podnosili się i chcieli uciekać, oczekiwali grzechot karabinów maszynowych. Nie uciekli nikt. Ocalała tylko jedna czy dwie osoby, które ukryły się na górze w dużym zbiorniku na wodę.

Wrażenie było przegnąbiające. Wszyscy byli dziwnie skuleni w oczekiwaniu następnego grzmotu. Zamiast niego do mieszkania wszedł Stach i ze zwykłą sobie flegmą, jakby chodziło o zmianę pogody, zakomunikował:

— Rosjanie na Dąbrowskiej.
Wszyscy zastępli w bezruchu, nie padło żadne słowo. Zdanie Stacha oznaczało koniec strachu przed śmiercią, który, zwłaszcza w ostatnich dniach okupacji, deptał codziennie po piętach. Ustąpiła jednak nie tylko groza śmierci: wszyscy odczuli, że nastąpiła gruntowna zmiana w ich życiu.

Wanda, osiemnastoletnia dziewczyna, nie musi już żyć w piwnicy. Strach przed śmiercią dziewczyny, która jeszcze nie zdążyła stać się kobietą, na którą czekało całe życie, był szczególnie groźny. Wszyscy boimy się śmierci, dojrzewające życie szczególnie.

Stach, herold dobrej wieści, oczekiwał przez cztery i pół roku, jak ślimak zamknął się jeszcze szerszej w swojej muszli. Ci, których zobaczył na Dąbrowskiej, byli inni od wszystkich dotychczas widzianych. Różnił się ubiorem i uzbrojeniem od słabo pamiętanych sprzed wojny żołnierzy polskich i aż nadto zapamiętanych żołnierzy niemieckich.

Jurek, jeszcze nie odrasnął się z wczorajszej wiadomości o paleniu żywym ludzi na Radogoszczu i dobijał do wyskakujących z okien, a tu Stach ze swoim krótkim, lapidarnym zdaniem, które zatrzymało czas i wszystkich uwięziło w bezruchu:

— Rosjanie na Dąbrowskiej!
Patrzył beznamiętnie na rozpływające się po obrusie mleko, wylane z puszek. Inne zjawiska, rzeczy, fakty nie istniały. Arcymadra natura uruchomiła hamulce — inaczej system nerwowy mógł nie wytrzymać. Nie było ważniejszej rzeczy od kafelek, odretwienie było błogostanem, zapominał, że istnieje. W jego siedemnastoletnim życiu zdążył poznać tylko lek, a teraz mu powiedziano, że nie potrzebuje się już bać.

Ciotka była najprzyjemniejsza ze wszystkich. Nie na tyle wprawdzie, aby zarażać na rozlane mleko i ratować obrus, ale na tyle, aby wydobyć z siebie głos:

— Przeżyło się — wypowiedziała tak, jakby mówiła, że to niemożliwe, jakby w to nie wierzyła. W stwierdzeniu tym była jednak nuta triumfu, że mimo okrucieństwa, terroru, upokorzeń i krzywd, nie tyle siła życia była silniejsza, ile jej spryt okazał się niezwykłym.

Dąbrowską od Dąbrowy w stronę Rzgowskiej płynęła masa ludzka, w której z daleka odróżniało się gęstnienie, gdzie wozy ciągnięte przez jednego, rzadziej przez dwa konie — tabory. W płynącej masie znajdowali się żołnierze, których można było odróżnić z tłumu, przede wszystkim po niesionej pepeszy. Trudno powiedzieć, kogo było więcej, żołnierzy czy cywilów.

Trudno było się w tej ciżbie rozeznać. A byli to ludzie wracający po tułaczce do domu. Dla jednego trwała ona kilka dni, dla innych kilka lat. W wyglądzie zewnętrznym nie było większej różnicy między tymi, co tułali się latami. Wszyscy byli w łachmanach, mieli zawiniątko na plecach, lub rzadziej posiadali większy dobytek ciągnięty w wózkach lub sankach. Ci z dłuższym stażem byli bardziej podnieceni, ciekawie rozglądali się wokół dopytywali o swe domostwa.

Na jadących wozach, niekiedy nawet nie okrytych plandekami, w styczniowym mrozie spali żołnierze.

Patrząc na wkraczające do Łodzi wojsko radzieckie, trudno się było oprzeć porównaniu wkraczania do tego samego miasta innego wojska — we wrześniu 1939 roku. Głęboko w pamięci utkwił mi obraz widziany z okna czwartego piętra kamienicy przy ulicy Piotrkowskiej. Wczesnym wrześniowym rankiem na wypoczętych koniach wjeżdżała zaprzęga na ostatni guzik kawaleria niemiecka. Konie stapały jak na defiladzie, niemal tancerzowym krokiem, żołnierze na nich w połowych feldgrauach wyglądali jakby dokonujący przejażdżki z jednego krańca miasta na drugi. Volksdeutsche witali wkraczających masą jesiennych kwiatów.

Obok konia szedł stary żołnierz, który na mój widok jakby się uśmiechnął. Zachęciło to mnie do podjęcia i spontanicznego pocałowania go w policzek. Odwzajemnił mi się.

— Tutaj mieszkasz?
— Tak.
— Z żoną?
— Nie, z matką.
— Niemców już nie ma?
— Nie wiem, przed godziną wyszedłem z domu. Zupelnie nie wiem, co się dzieje.
— No, ładnie.
Klepnął mnie przyjaźnie po ramieniu i wszedł na swój wóz. Długo patrzyłem na niego, idąc obok wozu. Kiedy zniknął mi z oczu, pytałem go w myślach:

— Co przynosisz dla mnie, dla mojej ojczyzny?

Zamyślony zaszedłem daleko. Na ulicy Pańskiej, na dawnym posterunku żandarmerii niemieckiej, topotała białoczerwona flaga. Poczułem lzy w gardle. Chciałem je przelknąć, albo odchrząknąć, ale nie udało się. Rozplakałem się. Szedłem do niej jak urzeczony. Działala z taką samą mocą jak przez wieki na rodaków rozrzuconych po różnych szerokościach geograficznych. Początkowo ze złością wycierałem ukradkiem lzy, później przestałem się wstydić swojej słabości — wszyscy wokół mnie robili to samo: plakali.

Przed bramą, na krzeselku stał mężczyzna z karabinem i białoczerwoną opaską na rękawie z napisem: Milicja Obywatelska i orzełkiem na czapce.

Mężczyzna z karabinem mówił zwięźle:

— Ogłaszamy nabór do Milicji Obywatelskiej! Przyjmujemy mężczyzn, Polaków, zamieszkałych w pobliżu, aby można było sprawdzić ich moralność obywatelską.

Z falą innych mężczyzn, którzy nie musieli się wstydić „moralności obywatelskiej”, znalazłem się w budynku. Na podstawie „ausweissu” zostałem zarejestrowany w niemieckiej książce raportów żandarmerii jako członek Milicji Obywatelskiej, na dowód czego dostałem kartkę zwykłego papieru, stwierdzającą, że jestem milicjantem; ponadto dostałem białoczerwoną opaskę, orzełek i karabin, o używaniu którego nie miałem pojęcia. Z karabinem miałem kłopoty od początku. Milicjant sprzed bramy wydawał rozkazy:

— Łuty karabinów w dół. Otworzyć zamek — podpatrzyłem błyskawicznie jak to sąsiad robi — włożyć naboje, zamknąć! Milicjanci, dla których brakło karabinów, zostają na miejscu. Milicjanci z karabinami mają się rozejść po terenie podlegającym komisariatowi — zakreślił granicę. Zadanie: po pierwsze — zdobyć broń dla komisariatu, po drugie — ochrona mienia państwowego.

Słowo: „towarzysze” — w wypowiedzianym przed chwilą znaczeniu, usłyszałem po raz pierwszy. Było ono obok białoczerwonego koloru i orzełka jeszcze jednym symbolem nadechodzących czasów. Barwy i orzełek były znane, wszystko to, co kryło się pod nowym pojęciem było dla mnie niewiadome.

Wszystko trwało kilkanaście minut: z wczorajszego niewolnika zmieniłem się w posiadającego władzę.

Rozmyślania przerwały okrzyki:

— Niech żyją! Polacy!

Wiwaty adresowane były do nas. Ktoś mnie całował, ktoś inny dawał paczkę z papierosami, chleb, ktoś wkładał mi coś do kieszeni. Oprzytomniałem, kiedy dołarły do mnie słowa:

— O Jezu, jak się wróci, to was zabiją!

Mimo późnej pory nie poszedłem do domu. Postanowiłem odwiedzić Nowaka na ulicy Przedzalanianej.

Nowak w czasie wspólnego pobytu w szpitalu dla gruźlików przy ulicy Zakątnej, otwierał przede mną nowe, nieznane światy. Chłonałem to, co mówił, imponowała mi jego wiedza.

Podawał po raz pierwszy dla większości słuchaczy wiadomości, które już w niedalekiej przyszłości miały stać się czymś powszechnym, oficjalną doktryną. Wyprzedzał epokę. Imponował, trytował, zaciekał, budził niechęć — różnie można było przyjmować to, co mówił, ale wytworzył sobie wielki autorytet.

Wiadomości o spalaniu więźniów na Radogoszczu, niechęć Niemców, wkroczenie wojsk radzieckich, kolor białoczerwony, orzełek, słowo „towarzysze” — wszystko to klebiło mi się w mózgu. Panował w nim chaos przerastający moje możliwości porządkowania, potrzebny był do tego ktoś mądrzejszy. Głód autorytetu. Ponadto, poczuwałem się do obowiązku przyniesienia śmierci choremu Nowakowi wiadomości, o których mógł nie wiedzieć nie mogąc wstać z łóżka.

Leżał w jednopokojowym mieszkaniu, nieopalanym i tonącym w ciemnościach. Głos miał słaby i nawet w świetle podwórzowej latarni widać było jego chorobliwie żółtą twarz z wypiekami na kościach policzkowych. — Kończył się, jak mawialiśmy w okropnym żargonie szpitalnym. W tej smutnej, niemal żalobnej chwili, prawem kontrastu przypominałem sobie wesołą sytuację: Nowak, starszy szanowany pan, fiknął z radości koła w łóżku szpitalnym, kiedy rok temu przeczytałem i przetłumaczyłem niemiecki komunikat OKW o planowym opuszczeniu, w celu skrócenia frontu, pierwszej przedwojennej polskiej miejscowości — były to chyba Sarny.

Ucieszył się moim widokiem. Słabym głosem powiedział:

— Dobrze żeś przyszedł. Przynosisz zawsze dobre wiadomości. Co w mieście?

Zapalił światło, spojrział na mój karabin, opaskę, orzełek. Wyszepiał:

— Dożyłem...

Wydawało mi się, że lzy płyną mu tylko z jednego oka. Nie mogłem się do końca przyglądać, bo odwrócił się jakby zawstydzony.

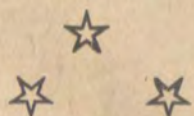
Opowiedziałem widziane, usłyszane, a nade wszystko bezpośrednio odczuwane. Nowak milczał, słuchał, oddychał chrapiawie. Potem powiedział:

— Nowe życie... Ono już nie dla mnie, ja już nie pociągnę, to są moje ostatnie godziny.

Paskudny kaszel jakby potwierdzał ostatnie zdanie tragedii.

— Ono dla młodych, takich jak moja córka, ty. Życie wróci do normy. Pójdziesz do szkoły, wyleczą ci gruźlicę, przeżyjesz życie, o jakim nie śniłeś. Pewno, że to nie będzie bajka bez kłopotów. Pamiętaj jednak, nawet w najtrudniejszych chwilach, że życie zawdzięczasz tym, którzy dziś przyszli. Gdyby nie oni, byłbyś niewolnikiem, oczekującym swojej kolejki na miejsce w krematorium. Gdyby nie Stalingrad, nie musiałbyś długo czekać.

Wygrałmy wojnę, ale czy potrafimy skorzystać z owoców zwycięstwa? Ty i tacy jak ty musisz udowodnić, że nie przegapiła szansy. Idź już. Jutro, jeśli nie będzie za późno, przeprowadź mi jakiegoś żołnierza radzieckiego. Nie odmówi, powiedz, że prosi o to stary umierający kapepowiec.



Rzeczywistości, jakie two imię?
Światło kultury i światło instynktu nie docierają tutaj; blokada całkowita. Ciało, ten biały pałac lęku rozmywa się w rzeczywistości, ciemność zalewa fakty, tylko w naszym wewnętrznym kinie, w myślach pełnych kwantów i gwiazd drobne sekundy przegryzają osnowę dni. Więc jesteśmy, i z nami samotność, nieidentyfikowalni w zasięgu zmysłów, ale z tej siły jest Polska. Wrogiem jest pewność, nie stanowiąca cienia dla domysłu, wrogiem wszystkie demokracje nawyku, wszystkie intuicje idei czyste. Oto otwieram okna na Europę, na gwałtowność Azji, ciemny, pulsujący rytm Afryki, który wybiła myśl nieprzekupna.

RAFAŁ ORLEWSKI

SYNTEZY

Jeśli się chylić to po garstkę ziemi
żeby mieć prawo stąpać śmiało po niej

Jeśli pięść wznosić to rozbić krzemień
aż ręka ogniem strzelistym zaplonie

Jeżeli płakać to łzą niewidoczną
by śmiech starczyście mogli tańczyć mazura

Jeżeli kochać to drapieżnie mocno
by odgłos serca był jak echo w górach

JERZY S. FELIKSIĄK

RAPSODIA WĘGIERSKA

W tej rapsodii melancholia jak dym z cygańskich taborów. Najlepsze nuty wybrane z pasterskich ognisk i śpiewu. Jak po przełocie żurawi rozbrzmiewa echo klangoru. Pojem melodia się łamie jak wierność.

Potem te ostre smyczki czujemy na żebrach jak zdzierają nam skórę, sięgają do trzewi. Nowy dźwięk instrumentów wino w krew zamienia. I wśród zgiełku oręża słyszymy głos Bema, jakby o stulecie cofnął się kalendarz.

W tej melodii płacz kobiet i tętent odjazdów. Huzarom dzwonią kordy, a koniom — wędzida. Nad puszcza płaki ślepą jak krety pod gwiazdą. Ogień łamie powały, zostawia swój stygmat.

Tylko jeden ton został z krajobrazu dźwięków — ton podobny do ręki szukającej nieba. Ktoż go nie zna nad Wisłą? Ktoż nie wie, że męstwo pokrywało się spazmem?

Więc po polsku czujemy te smaczki na żebrach, w kraj wpatrzni jak w pancerz.

ANTONI KASPROWICZ

POKOLENIE

Gdy przed Reichswehrą drżał przerażony
W podziemiach Paryża,
My — gromy w bruki — rzeki czerwone
Na trotuary!

To nasze matki — przedwczesne wdowy
Kłękały w gruzach,
Gdy jasną nocą, fundamentami
Wstrząsała burza

To my — celując w oczy pancerne
Wiązka granatów,
Że Polska żyje — przypominali
Calemu światu.

Nam, ośmioletnim, krzykiem zastępli
Na firmamencie
Słupy ogniste — dymy bijące
Gusen, Oświęcim!

Za nas płakała polna Madonna
Kulą przebitą,
Nam rozkwitnęła kwiatem różanym —
Rzeczpospolita!

1955 r.

HENRYK HARTENBERG

WIERSZ O ZIEMI I NADZIEI

Słuchajcie —
Pomiędzy liniami wrzenia
Obcymi sobie jak trwanie i czas odchodzący
Jak pamięć i Imię starte już w popiół
Jak ziarno snu i cień zamkniętego serca —

Istnieje obszar ocalałej nadziei
Zaludniony głosami żywych i umarłych
Tych którzy są tych którzy będą i tych
Którzy pozostaną aż do ostatniego uderzenia
Światła aż po ostatnie odejście różowego nieba
(Które nie będzie jeszcze zatraceniem)
Aż po lawę ognia krążącej w nas
Żywicą soli i ogniem —

Słuchajcie —
Tutaj między liniami wrzenia i doskonałością pustki
Oddycha Wielka Ziemia — obszar wszystkich
Gór wszystkich rzek wszystkich oceanów
I Ludzi —
Tutaj dzień narastający i Miłość
Jak dotyk najczulszych rąk —

Słuchajcie —
W głębi nieskończonego horyzontu wybucho
Zieleń wszechogarniająca a obce sobie linie
(Ruchu i przemijania) stapiają się
W słoneczną sieć —

Wielka jest Nasza Ziemia
Wielka i cierpliwa

Najwyższa Rada Magistratury, będąca głównym administracyjnym organem w systemie włoskiego wymiaru sprawiedliwości, zdumiona tak oszałamiającym slalomem prawniczym generalnego prokuratora Polermo, poczuła się w obowiązku ingerować i rozpoczęła od analizy pracy Scalone na powierzonym mu stanowisku.

Prokuratorowi, któremu zarzucono „niedbały stosunek do obowiązków służbowych”, udało się wprawdzie dowiedzieć bezzasadności tego zarzutu, ale nie oznaczało to, iż wyszedł on ze sprawy obronną ręką: zaproponowano mu wyższe stanowisko, ale z jednoczesnym przeniesieniem na kontynent, do prowincji Lecce, na co zgodzić się musiał.

Michele Pentaleone, rdzenny Sycylijszczyk i autor siedmiu książek o mafii powiedział reporterowi mediolańskiej „Panoramy”, Romano Cantoreowi, że decyzja o przeniesieniu prokuratora Scalone na kontynent była dla niego równoznaczna z wyrokiem śmierci. Generalny prokurator Palermo znał wiele tajemnic mafii, a nie uznający pobłażania „kodeks” przestępczego świata Sycylii głosi, iż tajemnice mafii nie mogą wychodzić poza granice wyspy.

Wiceprzewodniczący parlamentarnej komisji do badania zbrodni mafii, pięciokrotny poseł do parlamentu z ramienia Włoskiej Partii Komunistycznej, 78-letni Girolamo Li Causi, uważa sprawę Scalone, z całą jej potwornością, za drobny szczegół w szerszym aspekcie współczesnej historii mafii. Mafія codziennie umiera, żeby codziennie odradzać się w nowej formie, co zapewnia jej złowieszcza ciągłość trwania. Jest to już trzecia z kolei komisja tego rodzaju na przestrzeni ostatnich lat. W okresie swej działalności w latach 1968-72 zebrała ona i przedstawiła parlamentowi najbardziej obszerną i śmiałą dokumentację zbrodniczej działalności mafii sycylijskiej.

Sprawa Scalone (II)

OD SKRYTOBÓJSTWA DO POLITYKI

Od momentu zakończenia wojny do dnia dzisiejszego mafia zmieniała swe oblicze co najmniej dwukrotnie. Pierwszy etap nastąpił bezpośrednio po lądowaniu sojuszników na Sycylii. W zamian za pomoc okazaną, w toku przygotowywania tej operacji wojskowej, przez gangsterskie bandy włosko-amerykańskie (utrzymujące do dziś ściśle więzi ze światem podziemnym na wyspie), dowództwo USA okazało desinteresse dla działalności mafii. Korzystając z tego przyłączyła się ona natychmiast do separatystycznego ruchu przyłączenia Sycylii do USA. Niepoślednią rolę odgrywał w nim głośny bandyta, Salvatore Giuliano. Cały ów ruch był ukierunkowany przede wszystkim na krwawą rozprawę z sycylijskim chłopstwem, które wystąpiło przeciwko właścicielom latyfundiów, a ponadto miał on rozbudzać tęsknoty monarchistyczne. Ale kiedy w referendum odniosły zwycięstwo siły republikańskie, mafia zaczęła popierać partię prawicową i systematycznie mordować aktywistów związkowych oraz działaczy organizacji lewicowych. Zakończenie pierwszego etapu i przejście do drugiego zbiegało się z przyznaniem Sycylii autonomii w 1948 roku.

Później mafia przeniknęła do miast,

opanowała aparat administracyjny, urzędy prowincjonalne, instytucje finansowo-kredytowe itd. Teraz podstawą działalności mafii nie była już ordynarna grabież, lecz spekulacja pozwoleniami na zabudowę miast i wsi, zezwoleniami na handel drobnourobunkowy, na handel rynkowy, udzielanie pożyczek i kredytów przez urzędy centralne i municypalne i temu podobne operacje, objęte ogólnym pojęciem rządów zakulisowych. Dowodem na to dostarcza już choćby sama statystyka. Trzy niewielkie miasteczka od niepamiętnych czasów znane jako „stolice” mafii: Castellamare del Golfo, Mussomeli i Corleone, z ludnością liczącą ogółem zaledwie 40 tysięcy mieszkańców, „dostarczają” do państwowych, okręgowych i miejskich urzędów i instytucji dwa razy więcej urzędników niż centralne miasta odpowiadające im w prowincji, zamieszkane w sumie przez 2 miliony mieszkańców.

Carla Alberto d'Elia z Palermo, członek prowincjonalnej rady Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej, stojący zresztą na jej skrajnie lewym skrzydle, mówi otwarcie, iż nie sposób zniszczyć mafii, jeśli wprzód nie wymieni się z imienia i nazwiska głównych politycznych wodzirejów, z których usług korzysta mafia i którzy z kolei korzystają z usług mafii.

W rzeczy samej są to właśnie najbardziej niebezpieczni mafiosi.

W dokumentach, które komisja do badania zbrodni mafii przedłożyła w parlamencie, częściej od innych, przewijają się nazwiska dwóch najbardziej znanych przedstawicieli dzisiejszego świata politycznego, członków Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej: Giovanni Gioi i Antonio Gullottiego. Gioi był ministrem poczty i komunikacji w gabinecie Andreottiego, a również i dziś jest ministrem i pozostaje w bliskiej przyjaźni z sekretarzem Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej — Fanfanim. Także Gullotti zajmuje stanowisko ministra i reprezentuje interesy rządzącej frakcji chadeckiej.

Stęknął przestępstw trudniących się nie tylko wymuszaniem, lecz także polityką, zawsze natrafiali na przedstawicieli Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CD). Genco Russo, który objął po wojnie „stanowisko” głównego herszta mafii, nosił w kieszeni legitymację partyjną z krzyżem na okładce — emblematem CD. Co więcej, został wybrany do władz municypalnych Mussomeli z listy chrześcijańskich demokratów. Michele Navarra, herszt mafii w Corleone, aż do dnia, w którym sprzątnął go z tego świata Luciano Ligio, był przewodniczącym miejscowej sekcji stowarzyszenia chłopów CD, członkiem tej partii oraz — jak to wiadomo wszystkim i każdemu z osobna — jednym z głównych „inkasentów” głosów na korzyść chadeckiej. Antonio Vicari, zesłany na przymusowe osiedlenie z wyroku sądu w Palermo jako „element socjalnie niebezpieczny ze skłonnościami do naruszania prawa”, w chwili odczytywania wyroku był pracownikiem wydziału prawnego urzędu miejskiego w Palermo i sekretarzem sekcji CD w miejscowości, położonej 20 kilometrów od stolicy wyspy...

Szczególnym, ale także typowym przykładem bliskich związków pomiędzy mafią i CD na Sycylii jest skandaliczna sprawa byłego mera Palermo — Vito Ciancimino, prawej ręki wspomnianego już wcześniej Giovanni Gioi. 12 października 1971 roku, w dniu wyboru Ciancimino na mera Palermo, komunistyczny radni, w obecności gremium władz

municipalnych, oskarżyli go o przynależność do mafii. Pierwsza reakcja Ciancimino była bezzwłocznie wściekła: zagroził podaniem ich do sądu za oszczerstwo. Po pewnym czasie musiał jednak spuścić z tonu. Przewodniczący komisji do badania zbrodni mafii — Francesco Cattanei poinformował oficjalnie, iż w sprawie Ciancimino istnieją dokumenty obejmujące kilkadziesiąt stron maszynopisu. Mowa w nich o ogromnym majątku b. mera, zdobytym w nie wyjaśniony sposób, o fałszowaniu przetargów na zamówienia państwowe, bezpodstawne operacje finansowe itp. itd.

Korzystanie z usług zawodowych przestępców w wewnątrzpartyjnych rozgrywkach chadeckich jest najbardziej odrażającą stroną tego związku mafii z CD. A oto przykład. 25 kwietnia 1957 roku o godzinie dziesiątej wieczorem, Pascuale Almerico, członek CD, mer Camporeale, położonego 47 kilometrów od Palermo, wychodzi z miejscowego klubu „Italia”. W momencie, gdy znajduje się już na ulicy, w całym osiedlu gąśnie nagle światło. W mroku majaczy kilku jeźdźców. Ciszę wieczoru tną suche trzaski serii z broni automatycznej niosące się szerokim echem po całej okolicy. Podczas sekcji zwłok Pascuale Almerico stwierdzono 121 ran od kul...

Jedyną „winą” mera Camporeale, który przechodził na coraz bardziej lewe pozycje w partii, była odmowa współpracy z Vanni Sacco, hersztem mafii i głównym „dostawcą” głosów chadeckich w Camporeale. Popierając prowincjonalne władze chadeckie, Sacco dążył jednocześnie do zmontowania koalicji chrześcijańskich demokratów z prawicowo-burżuazyjną partią liberalną. Dziewięć lat wcześniej w taki sam sposób został zamordowany zastępca sekretarza CD w Trapani oraz prowincjonalny sekretarz CD w Agrigento...

Ponura historia b. prokuratora Palermo, poza elementem zaskoczenia i sensacji, zwróciła uwagę włoskiej opinii publicznej na skandaliczny fakt, iż niektórzy działacze partii burżuazyjnych wykorzystują wpływy i siłę mafii do rozgrywek wewnątrzpartyjnych.

JERZY CZECH

ŁÓDZIANIE 1973

W ostatnim, ubiegłorocznym numerze „Odgłosów” zaprezentowaliśmy Czytelnikom kandydatów do tytułu „Łódzianie 1973”. Jest to już szósty tego typu plebiscyt organizowany przez „Odgłosy”, a po raz pierwszy wspólnie z „Expressem Ilustrowanym”.

Przypominamy, że w naszym plebiscycie do tytułu „Łódzianie 1973” kandydują:

- Delfina Ambroziak — solistka Teatru Wielkiego,
- Jadwiga Andrzejewska — aktorka Teatru Powszechnego
- Zdzisław Ciechanowski — współtwórca elektronicznego urządzenia do bezpośredniego masażu serca „Rekard-4”,
- Wiesław Garboliński — artysta malarz,
- Wanda Karczeńska — pisarka,
- Antonina Kłoskowska — socjolog, profesor Uniwersytetu Łódzkiego,
- Andrzej Olczak — pracownik „Wifamy”,
- Henryk Rudnicki — dziennikarz, autor felietonów „Ze środy na piątek”, drukowanych w „Głosie Robotniczym”,
- Konstanty Rychlik — pracownik „Hydrobudowy-6”, budowniczy wodociągu Sulejów-Łódź,
- Mirosław Wiśniewski — architekt.

Przypominamy, że kupony plebiscytowe z zaznaczonymi nazwiskami trzech wybranych kandydatów można nadsyłać do 1 lutego 1974 roku.

ŁÓDZIANIE 1973 (Kupon plebiscytowy)	
1. Delfina Ambroziak	
2. Jadwiga Andrzejewska	
3. Zdzisław Ciechanowski	
4. Wiesław Garboliński	
5. Wanda Karczeńska	
6. Antonina Kłoskowska	
7. Andrzej Olczak	
8. Henryk Rudnicki	
9. Konstanty Rychlik	
10. Mirosław Wiśniewski	
Nazwisko i imię	
Adres	
Zawód	

☆ NIXON CHCE ZAHAMOWAĆ WYŚCIG DO ŹRÓDEŁ ROPY

☆ SALT II I TEGOROCZNE OCZEKIWANIA

☆ PEKIN WCIAŻ PRZECIWKO ODPRĘŻENIU

Kryzys paliwowy trwa z nie słabnącą siłą. Dokuczliwe jego skutki dla gospodarki wielu krajów skłaniają je do swoistego wyścigu po ropę i zawierania odrębnych umów. Taka sytuacja zanębiała Nixon, który też wystąpił z inicjatywą zwołania dwuetapowej konferencji w celu rozstrzygnięcia kryzysu energetycznego. W pierwszej fazie zebrać miałyby się dziesięciu największych importerów ropy, w drugiej — także państwa, produkujące naftę. Inicjatywa przyjęła została z zainteresowaniem przez uprzedmiotowane kraje Zachodu, gdyż one najdotkliwiej odczuwają ograniczenia w dostawach ropy i znaczny wzrost jej ceny.

Prasa zachodnia pisze, że amerykański prezydent wybrał dobry moment na „propozycję decyzji konferencji OPEC w Genewie o zamrożeniu cen ropy do 1 kwietnia br. Zupełnie inaczej na inicjatywę Nixon'a zareagowały państwa arabskie. Jedne uważają, że ich to nie dotyczy, inne stwierdzają jednoznacznie, że każdy kraj, który przyjmie zaproszenie do udziału w konferencji wciągnięty zostanie na listę nieprzyjaciół Arabów. — Jest to próba ze strony USA — pisał jeden z dzienników arabskich — rzucenia podobnego dyktatu Stanów Zjednoczonych nad gospodarką światową.

Uzasadnieniem dla tak ostrych sformułowań jest fakt, że niektóre kraje zachodnie, chcąc zapewnić sobie dostawy ropy, zawierają korzystne dla producentów porozumienia. Np. Francja w zamian za stałe dostawy zobowiązała się eksportować do Arabii Saudyjskiej broń i artykuły przemysłowe. Negocjuje podobne długoterminowe porozumienia W. Brytania. Stąd zresztą oskarżenie tych krajów przez amerykańskiego

sekretarza stanu — H. Kissingera o egoizm.

Z więcej lub mniej oficjalnych źródeł wynika, że wymienione z krajów podejmą amerykańską inicjatywę, ale będą się starali zachować dla siebie swobodę manewru, która pozwoliłaby im zawierać odrębne porozumienia.

Tak więc kryzys paliwowo-energetyczny nie tylko zagraża strukturze społeczno — gospodarczym krajów zachodnich, ale również pogłębia rozbieżności między nimi. Broń naftowa okazała się dalekosiężną...

Tymczasem H. Kissinger udał się w trzecią podróż do Bliskiego Wschodu, odwiedzając Kair i Tel Awiw. Obserwatorzy polityczni są zdania, że jest to najtrudniejsza podróż amerykańskiego sekretarza stanu. Jego zabiegi dyplomatyczne związane są z przygotowaniem porozumienia o oddzieleniu wojsk izraelskich i egipskich. Gdyby uzgodniono punkty widzenia dwóch zainteresowanych stron — można by przedłożyć tekst porozumienia wojskowym grupom robotniczym w Genewie. Optymizm bowiem, z jakim o przebiegu tych rozmów pisaliśmy w ub. tygodniu, okazał się przedwczesny. Negocjacje zawieszono, czekając na nowe dyspozycje. Czy nadejdą one z Kairu i Tel Awiwu w bieżącym tygodniu — wyjaśnią rozmowy Kissingera.

W kołach politycznych Genewy rozszedły się ostatnio pogłoski, że jeszcze w bm. wznowione zostaną radziecko-amerykańskie rozmowy, na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych. Przypomnijmy, że obecna runda

rozmów, znana pod skrótem: SALT II, rozpoczęła się w listopadzie 1972 roku. Negocjatorzy odbyli dotychczas 50 posiedzeń.

Pierwsza runda rozmów — SALT I — trwała ponad trzy lata i zakończyła się, jak pamiętamy, zawarciem porozumienia o ograniczeniu liczby niektórych rodzajów broni strategicznej. Obecna — ma na uwadze ograniczenie jakościowego rozwoju tej broni, np. rakiet wlotogłowicowych.

Podjęcie rozmów jeszcze w styczniu łączy się z zapowiedzianą na bieżący rok wizytą Nixona w Związku Radzieckim. Dokładna data tej podróży nie została uzgodniona i — zdaniem kół amerykańskich — związana jest właśnie z postępem w rokowaniach. Przywódcy radziecki i amerykański uzgodnili bowiem w czasie ubiegłorocznych rozmów, że będą starali się w 1974 r. osiągnąć kolejne porozumienie.

Pokojowy rozwój sytuacji międzynarodowej wciąż niepokoi Pekin. Stanowisko obecnego kierownictwa chińskiego na sytuację w świecie wyraził ostatnio komentarz Sinhua. Nosi on znamienity tytuł: „Wspaniała sytuacja w związku z kolosalnymi wstrząsami”. W artykule podjęto próbę wykazania jakoby nie było żadnych perspektyw pokojowych i rozbrojenia. Przynosi on krytykę wszelkich inicjatyw, zmierzających w tym kierunku i zapowiada, iż polityka chińska pozostanie nie zmieniona. Europejska konferencja na temat bezpieczeństwa i współpracy oraz rozbrojenia negocjacje w Wiedniu nazywa się w tym artykule „arenami, gdzie jeden pod drugim dokłk kopie”, zaś wysiłki do pokojowego uregulowania konfliktu bliskowschodniego określa jako bezcelowe.

To „credo” pekińskiej polityki zagranicznej na 1974 rok tak dalece odbiega od odczuć i oczekiwań narodów świata, że może przynieść tylko jeden skutek — jeszcze głębiej wprowadzić Chiny w izolację. Niestety — zapowiada to również, że Pekin będzie chciał wykorzystywać międzynarodowe forum do hamowania wysiłków na rzecz dalszego oprężenia.

WITOLD SŁAWSKI

* Prez. Nixon wystosował listy w tej sprawie do szefów rządów: Kanady, NRF, Francji, Włoch, Japonii, Norwegii i W. Brytanii. Duże niezadowolenie z niezaproszenia do udziału w rozmowach wyraziła natychmiast Belgia.

SIENKIEWICZ WCIAŻ PISZE

Wydawać by się mogło, że twórczość Henryka Sienkiewicza skończyła się w sposób naturalny — wraz ze śmiercią pisarza. A tu, okazuje się, nieprawda. Sienkiewicz wciąż pisze i wciąż piszą nowe książki o pisarzu jest raczej normalny, fakt, że sam pisarz wciąż zaskakuje nas nowymi utworami — zadziwia.

W ciągu minionych trzydziestu lat odkryto w różnych miejscach setki listów Sienkiewicza. Są wśród nich pozycje nie tylko ciekawe ze względu na biografie, ale także interesujące utwory z pogranicza reportażu. To nie, że pisane były do konkretnych osób, bez myśli o druku — w tamtych czasach list zastępował często reportaż.

Prof. Julian Krzyżanowski wydał ostatnio znakomitą książkę „Północ Sienkiewicza”. Znalazł się tam rarytas — kilka listów do Marii Kellner, pierwszej

narzeczonej pisarza. Pisał je Sienkiewicz, wówczas młody dziennikarz warszawski, ze swojej pierwszej podróży zagranicznej do Ostendy i Paryża. Odnalazły się więc pierwsze reportaże pisarza, który potem zabył znakomitymi, już przeznaczonymi do druku, „Listami z Ameryki”.

Listy do Marii długo były tylko legendą. Najpierw posiadała je sama adresatka. Na krótko przed śmiercią przekazała je prof. Ignacemu Chrzanowskiemu, który fragmenty opublikował w 1922 r. W dalszym ciągu jednak nikt poza rodziną nie znał autografów — Chrzanowski był bowiem, jak wiadomo, siostrzeńcem pisarza. Po wojnie prof. Krzyżanowski uzyskał obietnicę utrzymania tych listów od rodziny Chrzanowskiej, ale... Autografy trafiły najpierw do Oblęgorka, gdzie ukryła je rodzina Sienkiewiczów. Na pytanie Krzyżanowskiego o listy do Marii Kellner, odpowiedziano mu:

„Marii Kellner, odpowiedziano mi: kimś takim...”. Rodzina była zadowolona o pierwszą miłość ojca i dziadka.

W końcu jednak autografy dołączyły do Krzyżanowskiego, który opublikował je w 1990 roku i tekst ten powtórzone w wydaniu „Północ Sienkiewicza”.

Dosć dziwny stosunek rodziny Sienkiewiczów do spuścizny pisarza zaznacza się zresztą i przy innych okazjach. Pisz Krzyżanowski o łagach i przelagach w sprawie rękopisów, zamykaniu dostępu do wszystkich, co fizyko żyła prywatnego Pisarza. Zagadką do dziś jest sprawa pamiętnika Sienkiewicza pisanego od 1890 roku, a potem kontynuowanego w Oblęgorku. Rodzina najpierw twierdziła, że manuskrypt jest przechowywany u jednego z biskupów, potem oświadczone, że spłonął w czasie Powstania Warszawskiego. Jak jest istnie — nie wiadomo i wcale się nie zdziwili, jeśli za lat parę nam się odnajdzie i znów będziemy mogli powiedzieć, że Sienkiewicz pisał nadal... A nie trzeba chyba dodawać, że wart 66 tego zapisu jest ogromna nie tylko dla historyków literatury, ale i dla miłośników twórczości Sienkiewicza.

Przez długi czas opinie literackie kulwersowały wieści o zielonym kuftrze, pełnym rękopisów, listów i pamiętek. Część tych skarbow odnaleziono, część — jak pisał Krzyżanowski — na pewno kiedyś wypłynę w Oblęgorku lub jego okolicach. Zresztą ciągle coś się znajduje. Przed paroma laty od-

kryto listy Sienkiewicza do Marynuszki... aż w Moskwie: w Ameryce odnalazły się daremnie poszukiwane listy do Jeremiasza Curtina, tłumacza powieści Sienkiewicza na angielski, we Francji znalazł listy do Marii Goreckiej, a w Szwecji listy do Jense... Być może ktoś odnajdzie jeszcze... listy do Zagłoby. Tak — podobno w zbiorach Towarzystwa Polskiego w San Francisco są listy Sienkiewicza do Rudolfa Piotrowskiego, powstańca-emigranta i gawędziarza, który był ponoć pierwowzorem pana Zagłoby.

Prof. Krzyżanowski daje w swej książce do zrozumienia, że oprócz pięciu Marii, jakie przeszły przez życie Sienkiewicza, być może jest jeszcze... szósta. Była nią Maria Ejsmondowa.

Pisz Krzyżanowski: „Uroczą staruszką powiedziała mi z ligiernym uśmiechem, że ma jeden jeszcze list, ale że pokazać mi go nie może. Trudno — pomyślałem i nie nalegałem. I dopiero teraz przekonałem się, że los zetknął mnie z szóstą Marią, która w dodatku nabrała mnie, mówiąc o jednym liście, choć listów takich było około trzydziestu...”

Niestety, Maria Ejsmondowa już nie żyje, a listy wysłała tuż przed śmiercią do Francji, do swoich wnuków. Jeśli potomkowie nie będą zazdrośni o młodzieńczy romans babki z wielkim pisarzem, być może za parę lat znów otrzymamy sygnał, że Sienkiewicz wciąż pisze...

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY

KUPIĘ FOTEL
NAJCHĘTNIEJ
Bardzo Wygodny
(tanio)



WYROBY KRAWACIARSKIE

Autor niniejszych felietonów nie uważa siebie bynajmniej za purystę językowego, uczulonego alergicznie na najdrobniejsze do wolności, błędy, nowinki w żywym naszym języku. Jednakże nieokreślona twórczość w tym zakresie, zwłaszcza na łamach prasy — ale o tym mówić nie będziemy — oraz na ulicach naszych miast — i o tym chcemy podać parę uwag — przekracza granice po prostu zdrowego rozsądku.

Nad pewnym dużym sklepem cukierniczym przy ul. Zgierskiej widnieje dla przykładu wielki napis: „Artykuły ciastkarskie”. Rany boskie, komuż się przyszło coś takiego? Czy zwyciężają „ciastka” już nam nie smakują? Czy „artykuły ciastkarskie” brzmią mądrzej, bardziej w stylu

sprawozdawco — planistycznym. Już widzę całą serię koszmarnych tak się fascynują nasze urzędy i przedsiębiorstwa! Czy może znaczą coś innego, niż „ciastka”? nych analogii: „artykuły wędliniarskie”, „artykuły meblarskie”, „artykuły krawaciarские” — zamiast wędlin, mebli i krawatów. Po co, dlaczego, z jakiej racji? Czy po to, żeby projektanci neonów, płatni od metra, łatwiej wyrabiali normę i lepiej zarabiali? Jeśli tak, to można jeszcze dłużej: zamiast tak ozdobnie, że aż nieczytelnie wystylizowanego słowa „wędliny”, umieścić na dachu kamienicy piękny neon ze słowami: „Uspołeczniony zakład detalicznej sprzedaży artykułów wędliniarskich dla ludności — numer 202”. Wędliny w tym

wszystkim gdzieś się podzieli, za to zostanie styl, urząd i neon...

Nie możemy się też zdecydować, jak nazywać sklepy, w których oprócz makaronu, cukru i landrynek można jeszcze kupić salatkę jarzynową, pasztet (nie widziałem jeszcze nigdy, żeby ktoś to kupował), sędzie z cebulą i żeby oszczędzić lasy, chociaż przez wiele lat uczono mnie, że młode lasy trzeba i tak „przećinać”, czyli eliminować z nich część mniej udanych drzewek dla dania lepszej szansy wzrostu pozostałym okazom.

wędzoną makrelę. Jak dotychczas mam już zanotowane następujące autentyczne wersje: „wyroby garmażeryjne”, „artykuły garmażeryjne”, „garnażeria”, „garnażeria”. To jest tak, jakby ktoś sobie dowolnie używał takich nazw, jak: sklep rybny, rybniary, rybny, rybnicy, rybca, rybka.

Zdarzają się też napisy, pomyślane chyba jako reklama, które w ogóle nie wiadomo, co mają znaczyć, co ich autor miał na myśli. W samym centrum Łodzi, na dachu wielkiego biurowca o ciemnych z natury rzeczy oknach, jarzą się, zapalają i gasną zagad-

kowe wyrazy: „Czysta, żywa wena”. I już. Czysta wena. W pobliżu nie znajduje się nic, co by kojarzyło się z wena. Ani sklepu, ani punktu skupu, ani wystawy. Gdyby to był np. wyraz: „Papierosy” — myślelibyśmy, że obok zasły jakieś dalsze słowa, powiedzmy: „PAPIEROSY niszczą zdrowie”. „Najlepsze PAPIEROSY Sport”. „PAPIEROSY krzepią”. „PAPIEROSY”. Twój wróg”. Czy obok czystej weny też coś zgasło? Co mamy myśleć o czystej wenie? Przecież jeżeli chodziło o „neonizację” środowiska, o element światła, to już przywoleć było wyjąć rurkę neonową w abstrakcyjny zakrętas, zamiast niepokojącej przechodniów i niekiedy nieodgadnionej tajemnicy. A może to jest właśnie abstrakcja, nie spotykana w życiu doczesnym: czysta wena?

Wenę zastąpiły włókna syntetyczne, tak jak prawie wszystko zostało zastąpione przez coś innego. Na sztucznej choince wieszamy sztuczną jabłka, a pod sztuczną choinką kładziemy zastępcę upominków ze sztucznych tworzyw. Choinki z poliwinyli wymyślono.

Oszędnosć lasu nie była oszczędnością konsumenta, który za chemiczne drzewko płaćł tyle, co za dwadzieścia drzewek naturalnych. Choinki z poliwinyli

produkuje zresztą przemysł chemiczny, który jak wiadomo niszczy las od razu całymi powiatami, hurlowo, nie przebiegając w drzewach mniej lub bardziej dorodnych. Na dodatek sposzczono nagle, że taka przyszłośćowa choinka od łada iskiernki wybuchu potężnym płomieniem i staje się momentalnie chmurą cuchnącą, bardzo trującą gazu. Ponieważ trudno do każdej choinki dodawać strażaka, zaczęto przebakiwać nawet i w prasie o tym, że należałoby chyba produkcji sztucznych drzewek zaniechać. Nie wiemy jeszcze, jaki pogląd zwycięży. Tymczasem jesteśmy po Świątach, co się miało spalić, to się spaliło, kto miał się zatruć, to się zatruł, na najbliższy rok od tej strony nie nam nie grozi. Czysta wena!

ĆWIEK

SPORT MY I RESZTA

Wśród mnogości różnych konkursów i plebiscytów na najlepszych sportowców ubiegłego roku losowanie we Frankfurcie nad Menem było najbardziej emocjonującą loterią. Dla pilkarzy z 16 państw i kibiców niemal z całego świata. Jak bardzo „półka noża” ślala się widowiskowa świadczy sama loteria, którą przeprowadzono z takim nabożeństwem i pompą, jakiej nie powstydziłaby się nikt jedna akademika ku czci.

Wygraliśmy w tej loterii, czy nie? Mnie osobiście marzyła się dla Polaków grupa, w której spotkali byśmy się z zawodnikami Zairu, Haiti i Australii. Ale najwyższe władze piłkarskie perfidnie zapobiegły spełnieniu moich marzeń. I mamy to, co mamy: Włochy, Argentynę, no i jednak Haiti. Moim zdaniem dobrze jest, jak jest. Trzy trafienia w „Toto Lotka” to też wygrana.

Do 5 czerwca wszyscy teraz będą bawili się we wróżki. Telewizja NRF zaprosiła nawet do studia słynną wróżkę Buchelę, która autorytatywnie oświadczyła, że drużyna NRF będzie grać w finałach Mistrzostw Świata i nawet z „wielkimi szansami”. Na takie wróżbiarstwo mnie też stać. Mogę równie autorytatywnie stwierdzić, że jeśli Polacy wygrają z Argentyną i Haiti, to znajdą się wśród ośmiu najlepszych drużyn.

Komentatorzy sportowi gazet i telewizji zachodnich oraz trenerzy tamtejszych drużyn piłkarskich mówią o polskiej jedynastce z dużym uznaniem i respektem. A nawet dają nam spore szanse. Głównie dzięki wyeliminowaniu z mistrzostw drużyny Anglii. Trudno się z nimi nie zgodzić, byłymy tylko nie spoczęli na laurach. Pięć miesięcy, jakie dzieli nas od pierwszego gwizdka, który rozmożna równie dobrze wykorzystać Mistrzostwa Świata, stać dla spełnienia tej szansy, jak i zaprzeczenia. Przez pięć miesięcy musza się liczyć nie tylko nogi, ale i głowa.

A po tych pięciu miesiącach? Musimy także pomyśleć o sobie. Mój kolega Jacek Gontal już wie, abyśmy sobie wzięli urlop na czas Mistrzostw Świata, pomyślał. Zaproponował mianożby nam praca zawodowa nie przeszkadzała w sportowych emocjach. Ale ja mam inny pomysł. Radzę zadziwić wizer przyjaźni z sąsiadami i telewizyjnymi mechanikami. A nuż w najbardziej dramatycznym momencie wysiadzie nam własny telewizor. I co wtedy?

JEŻ.

BOGDA MADEJ

PAMIĘTNIK BYWAŁEGO

Poniedziałek

Z „Audiencji” sporo ludzi wychodzi w połowie seansu. Niestuszenie. A dziwne, że nie potrafi ich nawet zatrzymać Claudia Cardinale, bardziej rozebrana niż ubrana — i prawie mówią — jej dojrzałe wdzięki robią większe wrażenie niż lat temu, powiedzmy, dziesięć. Ale dajmy spokój CC, sprawa jest poważna. Po raz pierwszy jesteśmy świadkami ekranu przeniesienia na ekran Kafki, co paradoksalnie, bez pośrednictwa jego książek, jak to bywało w przeszłości. Sfilowano „Zamek”, z „Procesem” zmierzyl się sam Orson Welles — bez powodzenia. Marco Ferreri, czołowy skandaliści europejskiego kina, autor m.in. „Wózka” i „Wielkiego zarcia” obrał inną drogę — i odniósł sukces niebywały. Zrobił jakże sugestywnie „kafkowski” film bez Kafki, umieszczając akcję w scenarii całkiem realistycznej, labiryntach współczesnego Watykanu.

Literatura Kafki ma swój wymiar przede wszystkim historyczny, wynikała z ducha i mentalności swego czasu, ówczesnej formacji ustrojowej. Jej uniwersalizm z czasem blednie, chociaż i nam w jakiejś odmiennej rzeczywistości nie brakuje „kafkowskich” sytuacji. Z tą poprawką, że nie chodzi w tym wypadku o czyhające na bezbronność człowieka ukryte mechanizmy, lecz po prostu o innych ludzi. Sami sobie bowiem nawzajem takie sytuacje prezentujemy. W urzędach, w pracy, w domu...

Wtorek

Zaproszenie na wystawę.

Wciąż, cała teczka z reprodukcjami, wiadomo, może przedrukować, będzie reklama) coś w rodzaju katalogu. Dowiaduje się z niego o niezliczonych zainteresowaniach i pasjach autora, jego funkcjach społecznych, nagrodach i odznaczeniach. Chwila zdziwienia — coż za człowiek Renaissance! — ale wątpliwości szybko się rozwiewają. Po stwierdzeniu, że pan N.N. to „taki współczesny Leonardo da Vinci”. Tak, drogi Czytelniku, dosłownie i na poważnie. Nie zdradza jednak tajemnicy, samolubnie dla siebie zachowam możliwość obejrzenia Leonarda. W dodatku, co jest już zupełnym niedopatrzeniem organizacyjnym, albo nadmiarem szlachetności — za darmo, bez dewiz.

Lecz przy okazji, poważnie. Szanuje szlachetne pasje amatorów, niedzielnych artystów. Piórem, pędzlem, w drewnie i glinie odkrywają inny świat, często odkrywają siebie. Jest to piękne i pożyteczne, czasami niemal wielkie. I do tego miejsca wszystko jest w porządku, dopóki natrafi się na maniaka. Maniaka, lecz i często obrotowego życiowo realiste, który wykorzystując holubienny status amatora, działacza kulturalnego — tworzy „fakty” dokonane”. Oczywiście za państwowy grzech, co jeszcze jako kropelka w morzu nie jest najgorsze. Gorsze są własne złudzenia, rozezorowanie, za które przed czy później trzeba zapłacić z własnej kasy. I narazić się na uśmiechy politowania, co jest może nie zbyt obyczajne, ale jedynie w takich przypadkach.

Czwartek

U literatów. Problemów sporo, przede wszystkim przygotowania do majowego festiwalu poezji, imprezy liczącej się w kraju, z osiemnastą tradycją. Już po przyjęciu koncepcji widać, że będzie to festiwal jakościowo odmienny od poprzednich. Z większym rozmachem, bardziej pojemny intelektualnie, poważna próba uświetnienia poezji na tle innych dziedzin sztuki a nawet... nauki. Ale na szczegóły przyjdzie czas.

Póki co, sprawa „Esplanady”. Na pewno nie do załatwienia od ręki, ale postulat ważny w okresie inwentaryzowania naszej skromnej bazy kulturalnej — i przymierzania się do inwestycyjnego kroku w przyszłej pięcioletce.

Łódzki Oddział ZLP należy do nielicznych w kraju pozabawionych własnej siedziby, gdyż za takową nie można uznać trzypokojowego mieszkania przy ul. Mickiewicza 8. A rzecz przecież nie w tym by literatom było wygodnie, ale w stworzeniu odpowiedniej platformy do współpracy z pozostałymi środowiskami artystycznymi i mieszkańcami miasta. Chodzi o stworzenie możliwości kontaktów nie tylko sformalizowanych i oficjalnych, ale codziennych, nieoficjalnych, bliskich — i miejmy nadzieję — wielostronnie konstruktywnych.

W zabytkowym, doskonale użytkowym budynku dawnej „Esplanady” przy Piotrkowskiej 100 są wszelkie możliwości na stworzenie czytelnego z biblioteką, sali odczytowo-konferencyjnej, kawiarni, gdzie powinna się znaleźć miniestrada dla kabaretu literackiego. Łódzcy plastycy na pewno zadbaliby o wykorzystanie tego miejsca na ekspozycje plastyczne, nie mają go do tej pory w naszym mieście za wiele. A w ogóle byłoby to sympatyczny pomysł do tradycji środowisk artystycznych Łodzi, jakże żywym tym miejscem związanych. I na pewno jakaś propozycja na jutro, ambitna i oryginalna. A najważ-

niejsze, przejście od rozmów o integracji środowisk twórczych do tworzenia dla tej integracji warunków i możliwości.

Jak wiecie niesie Prezydent miasta jest przychylny propozycji łódzkich pisarzy — chociaż wiadomo, że taka decyzja musią poprzedzić badania, opracowania i rachunek ekonomiczny, i wiele innych czynników. Chętnych na „Esplanadę” też nie brakuje. Emocjonalnie rzecz traktując literaci, występujący nie tylko we własnym imieniu, są w sytuacji wyraźnie handicapowej.

Sobota

W Teatrze Powszechnym na premierze „Marii” Izaaka Babla. Spore wydarzenie, ale nie zaskoczenie. Polityka repertuarowa dyrektora Ryszarda Sobolowskiego, który kieruje teatrem drugi sezon, dobrze świadczy o ambicjach i możliwościach tej sceny. Nie jest przecież rzeczą łatwą godzić zasadę wysokiego poziomu artystycznego, nowatorstwa z tym, do czego teatr zobowiązuje niejako sama nazwa — z powszechnością, współczesnością, widowni o szerokim przekroju społecznym. Stąd więc w aktualnym repertuarze nazwiska Brechta, T. Williamsa, Fredry, ale jest też i „Billy kłama” i „Miłość jest złym doradcą” F. Dürbridge’a. Dodajmy jeszcze najbliższe premiery współczesnych polskich pisarzy, J. Krasińskiego „Wkrótce nadejdą bracia” i „Szachy” Stanisława Grochowiaka — a otrzymamy pełny obraz umiędzynarodowienia sceny w kierunku... widza. Zacznie się ktoś: ale mi rewelacje wymyślił? I rzeczywiście, w tym zgrzebnyim stwierdzeniu nie o rewelacje chodzi, lecz o konkretny, pozytywny przykład. Znam sporo teatrów, gdzie na pewno myśli się podobnie, ale w praktyce...? Takie to już życie niewdzięczne: wiedzieć, nie zawsze znaczyć móc.

Ale wróćmy do „Marii”. Ten dramat oraz „Zmierzch” to cała dramatopisarska twórczość Babla. Nawiasem mówiąc cała

MAGAZYNEK

ODKRYCIE

W Puszczy Piskiej odkryto niedawno 120-letniego zbieracza grzybów. Starzec trzyma się krzepko, wiele przeżył, wie swoje i nie chce zmienić zdania.

NOCNY KOSZMAR

Jeden z łódzkich reżyserów filmowych miał ostatnio wyjątkowo przykry sen. Snit on mianowicie, że przeniósł się do Warszawy, gdzie w śródmieściu otrzymał duże mieszkanie, z tarasem i garażem. Podobno w ogródku był tam basen, ale tego już oburzone nie doznał. Po przebudzeniu jeszcze długo nie potrafił wyzwoić się od uczucia niesmaku.

ŚLUSZNE STWIERDZENIE

Pewien znany amerykański krytyk filmowy stwierdził w czasie spożywania obiadu, że znacznie łatwiej jest białemu aktorowi zagrać Murzyną niż odwrotnie. U nas krytycy filmowi też jedzą obiady, ale spokojnie, bez stwierdzeń.

LIST OTWARTY DO REŻYSERA FELLINIEGO

Kochany panie Fellini! U nas jest dużo sniegu i wczoraj zaczęliśmy lepić bałwana. Sio nam dobrze, ale przerwaliśmy pracę, bo zaczęły się kłótnie. Chodzi o jego budowę. Nie ma niestety zgody, czy bałwan ten

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina”
K.I.G.

to ma być pan, czy pani. Bałwana Pania ulepić jest łatwiej, ale przy lepieniu Bałwana Pana jest znacznie więcej śmiechu, szczególnie wśród dziewcząt. Nasza wychowawczyni radzi, żeby nie wdawać się w szczegóły i lepić tak jak dawniej, tradycyjnie, jedyną akcent

to nos z marchwi. Uważamy, że to oportunizm. Wiemy, że kochać dzieci i czekamy na Twoją odpowiedź. Na razie ulepiłmy osobno te części dyskusyjne i gdy nam poradzisz, to zaraz dolepiamy to co trzeba, na pewno bez pomyłki. Pisz szybko, bo Wicherek mówi, że idzie odwiłż. Całujemy.

Klasa I B.

SPROSTOWANIE

Niniejszym prostuję się wiadomość, jakoby strzyk zamienił siekierkę na kij. Otóż okazuje się, iż strzyk oprócz kijki otrzymał za swoją siekierkę również bilet do kina na barwną epopeję pt. „Chłopi”. W sumie więc na zamianie zyskał, przynajmniej estetycznie. Podobno w czasie seansu wesoło wywijał sobie kijkiem.

CIEKAWY MALŻENSTWO

W Tokio zawarto niedawno oryginalne małżeństwo filmowe. Pan młody, o trudnym do wymówienia nazwisku, poznał swoją obecną małżonkę na ciemnej sali kinowej jedynie przy pomocy zmysłu dotyku.

KURS DLA SCENARZYSTÓW. ODCINEK VII

Niepokojąco często otrzymujemy od kursantów listy z pytaniem: Jak się odżywiać? Zagadnienie to, wbrew pozorom, jest bardzo proste. Dobry scenarzysta nigdy nie pogadzi ka-

wiorkiem czy kieliszkiem Martela. My oczywiście zaczynamy skromnie. Jedno jest pewne – grzybki w occie doskonale zaostają nasz krytycyzm. Unikamy słodczy, by nie przestodzie twórczości. W zasadzie zdrowe jest wszystko co niesmaczne. Wyjątek stanowią kulki z dorsza podane wpro- na dion, bo pyszne to i zdrowe. Jeśli zaś chodzi o kaszankę, to dziobimy ją widelcem. Musical lubi biegać a film psychologiczny pieczeń wolową. Flaki tylko przy adaptacjach! W czasie konsumpcji drobno siekać ząbkami i umiejętnie puszczać kalambury – oto sprawa najważniejsza.

KURS DLA SCENARZYSTÓW. ODCINEK VI

Dzisiaj ćwiczenie praktyczne. Uwaga! Oto krótka treść scenariusza: Jeden pan miał żonę i siedmioro dzieci. Pewnego razu pierwsze dziecko wpadło mu pod tramwaj, drugie pod pociąg, trzecie przejechał samochód, czwarte wypadło z balkonu, piąte poślęgnięto żyletką, szóste utonęło w wannie, a siódme po prostu umarło. W dodatku żona tego pana, tego samego dnia puściła go z oficerem straży pożarnej.

Zadanie dla kursantów: Proszę dokończyć powyższy scenariusz, dorabiając mu wszelkie i pogodne zakończenie.

MICHAŁ MISZIN

W AUTOBUSIE

Marcepanow wygodnie rozsiadł się na miejscu dla inwalidów. Potem leżąc zagradzając przejście zabłoconymi butami. A wreszcie – zaspiewał. Wykonawszy z uczuciem utwór w nieokreślonym języku Marcepanow śmiejąc się oznajmił:

— Kogo los wybierze! — i plunął poprzez oparcie siedzenia.

Wybrańcem losu okazał się chudziś w okularach. — Dlaczego pan pluje? — spytał wycierając rękaw palca. — Nie należy pluć na obcych!

Takie oświadczenie nie podołało się Marcepanowi.

— Ty gadzisz, już cię teraz znam! — zaśmiał się jadowicie i tym razem celując precyzyjnie opłut okulara w okularach.

— Pewnie wypili, biedak! — zauważyła jakaś staruszka z wypchaną siatką.

Autobus zatrzymał się i Marcepanow omal nie zwał się z siedzenia.

— Buzka! — zawołał filuternie i pociągnął za sułeciek siedzącą przed nim dziewczynę.

Dziewczyna zerwała się jak oparzona i poszła w kierunku wyjścia. Marcepanow ściągnął but z nogi.

— Oburzające! — mruknęła z niesmakiem leciwa dama zajmująca miejsce z tyłu wozu. — Tyle ludzi i nikt nie reaguje!

— To chuligaństwo! — bez przekonania podtrzymał ją opłuty obywatel.

Marcepanow rzucił w niego butem.

— Nieborak! — ujęła się za Marcepanowem staruszka z siatką. — Zażębi sobie nogę!

— Ej ty, Marusiu, malpa zielona! — zajączał „nieborak” i zasnął.

Pasażerowie jakby poweselieli.

Ale nie upłynęła nawet minuta, jak Marcepanow ocknął się. Wstał, przyniósł but i powiedział pełnym głosem:

— Obywatelu, proszę o uwagę! Poczytajcie sobie za obowiązek przeprosić was. Przeprowadzałem eksperyment, jak długo będziecie cierpieć zniewagi ze strony pijanicy. I co się okazało? Znieśliście wszystko co może podkładać piątkę fantazji. Gdzie, pytam, wasze uświadomienie, obywatelu?

Tu orator zawiesił głos, ale nie dał mu skończyć pasażerowie, którzy już otrząsnęli się z szoku.

— Ah, ty podlec! — krzyknął chudziś w okularach.

— O, to to! — z uznaniem kiwał głową Marcepanow. — Tak trzeba było mówić od początku!

— Ależ to niekiedy niegodziwe zniecanie się! — z oburzeniem wybuchnęła leciwa dama.

— Doskonale! — podtrzymał ją eksperymentator. — Nie rozumie tylko dlaczego tak długo cierpiecie w milczeniu!

— Oszust! — włączyła się staruszka z siatką. — Ja głupia, uwierzyłam, że się urządzi, a on po prostu udawał!

Jakiś dryblas ujął Marcepanowa za ramię i szybko wykreślił jej do tyłu.

— Zapamiętaj! — powiedział — ucz się go — że do ludzi trzeba z szacunkiem. Jeszcze gdybyś był ululany... Obywatelu, kto chętny na świadek?

— Za co? — przestraszył się niefortunny posiadacz wykreślonej reki. — Przecież mówię, że nie pitem. To doświadczenie psychologiczne, rozumiecie?

— W milicji, bratku, wyjaśnisz, żeś nie pił — nerwowo ruszył gędką chudziś w okularach. — Ześ pił na trzeźwo.

— Pana muszę przeprosić szczególnie serdecznie — powiedział Marcepanow — ale to przecież było doświadczenie.

— Wychodzi! — pociągnął go osilek.

Marcepanow przestraszył się oścających go, nieprzyjaznych, surowych twarzy. Wolał uniknąć tłumaczeń w komentarzu. Pochylił głowę, ugiął kolana i zwał się na trzymającego go osileka.

— Ej! — zakrzyknął samowolny strażnik porządku. Nie przewracaj się!

Marcepanow gorzko zatkał bijąc głową po twardych kolanach olbrzyma.

— Ależ on jest pijany! — z triumfem zauważyła staruszka z siatką.

— „Panie sierżancie, bołą nogi!” — zawył Marcepanow unosząc głowę.

— Więc jednak — staruszka obserwowała eksperymentatora siedzącego w zabłoconym prześcieradle. — Czy to trzeźwy tak by się tarzał po podłodze? Urządził się jak nieboskie stworzenie!

— To czego mu się doświadczeń zachciewał? — z powątpiewaniem zapytał baczysty obywatel.

— Po pijanemu człowiek różnie głupstwa wypłata — objaśniła mądra staruszka.

— Trzeba go powąchać — dowodził ktoś. — Czy czuć wódkę?

— Wódka kołosańska jedzie od niego! — oznajmił atleta dopapawszy koło Marcepanowa.

— Gdzie on wysiada? — pytała staruszka przeciskając się do wyjścia. — Żeby, biedak, nie przejechał swego przystanku, albo, żeby, broni Boże, nie wpadł pod samochód!

— Zaopiekujemy się! — obiecali pasażerowie. — Jak pijany, to pijany!

Tłumaczył:

BOHDAN PIATKOWSKI
(Literaturna Gazeta)

SEX W LITERATURZE

SEX W LITERATURZE

SEX W LITERATURZE

LOUIS ARAGON

PASAŻEROWIE Z DYLIŻANSU

W wielkim łozu pod kolumnienkami, odrzućwszy koldry, bo było gorąco, z prześcieradłem na nogach, w świetle przykrytych okien, leżał przy sobie nadzy i znieczulony, swobodnie, bez pragnień i rozmawiał jak w tych snach, kiedy człowiek zapada się z całym światem w wielką chmurę.

W trzydziestym czwartym roku życia Blanka nie miała już młodzieńczego blustu, ale skóra jej odznaczała się polyskłem masy perłowej, który podobał się Piotrowi, gdyż stanowił odmianę po matowej skórze Pauliny; przystulił się do niej, leżąc wysoko na poduszce, tak że jego broda znalazła się w jedwabistym zagłębieniu jej pachy, a głowa na jej uniesionym ramieniu. Lekko gładził ją ręką, jakby był miłym zwierzęciem, opadał bezwładnie obok niego, jak czynny w morzu, ufając prawu Archimedeasa, że wyniesie nas na powierzchnię. Jej rozpuszczone włosy spływały jak rzeka starego burzyny aż na oczy mężczyzny, toteż nie widział jej zielonych oczu zwróconych na wyłepetany sufity.

Odzież na krzesłach, niezgrabna i sztywna, wyglądała jak zakłopotani świadkowie zdarzenia z innej epoki.

— Och — mówiła Blanka — nie wiem, jak na ciebie czekałam, jak płemąłem z niecierpliwością, pytając samej siebie, czy nigdy się nie zdecyduję... Dlaczego mężczyźni są aż tak ślepi... Czekasz, czekasz... Czujesz, że on kradzie, że kradzie z twoim plecami. We wszystkim, co robi, chce się podobać, a więc zrozumiemy wreszcie! A potem... a potem... jeszcze jeden dzień miła... Dobry wieczór panu! Dobry wieczór pani! Te gorące noce w Sainteville... sypiałam z ciebie, rzucałam się na łóżko myśląc o was dwojgu tam na górze, w waszym pokoju... Dobrze widziałam twoje wzburzenie, nie myliłam się... Ach, głupstwie, głupstwie, zmarowałam tyle czasu!

Przesunęła mu rękę po karku. Piotr kreślił głową jak kot i pod najelektryzowanymi palcami przeżył kark, gdzie włosy miał krótko przystryżone. Czuli się niezwykłe młodo, tego wieczora miał dwadzieścia lat — mimo zmęczenia, mimo starzenia się ciała, mimo gęstej owłosienia, tajemnej kłębki, o której nie zapomnieli ani na chwilę, mimo odtuszczonych bioder i niepokoju, którego nie zaznał dawniej przy kobietach, na myśl o ewentualnych porównaniach. Rozmawiali półgłosem, czując dreszcz niebezpieczeństwa. Czyż nie byli szaleni, oddając się sobie tutaj, w tym zamku, wśród ogromnych

ścian, w pokoju, z którego trzeba będzie przecież jakoś wyjść. Na próżno ona udawała, że ma straszną migrenę; służąca przysłała przed chwilą powiedzieć jej coś przez drzwi. A jeżeli w ciężkiej du- chowie popołudnia doszły ich stłumiony szep? Tyle ludzi dokoła, skandal...

— Trudno — rzekła — nie mogłam już dłużej; czy w naszym wieku można uprawiać miłość w polu, na kamieniacz? A może widzieli nas zjeżdżających do hotelu w Buloz? Mówisz o skandalu... Ale nie było wyboru...

Zresztą oboje lubili niebezpieczeństwo, skrajną nieostrożność swego szaleństwa. Przy tym to średniowiecze dokoła czyniło z niego przegrodę kaszcielanki i trawera, romane, co prawda, oklepianą, trywialną, jeśli chcecie, ale i mającą w sobie coś szczególnego: to dwa nagie ciała splecione, wzajemnie siebie ciekawe, kłaniane, ta sama dziwna namietność, której nie odczułby nigdy, ona — dla bardzo pięknego mężczyzny czy on dla bardzo młodej kobiety, niejasny pociąg do wzajemnej niedoskonałości, odurzający przypadek, który ich polaczył... dlaczego właśnie ich, tego nikt się nigdy nie dowie...

Gdy Ernest wspomnił mi o Sainteville, powiedziałam: „Nie chcę tego twojego zamku z wieżami”. Nie ma wątpliwości, że w każdym razie byłabym sobie tego lata wzięła kochanka; nie mogłam już dłużej... Nie rób takiej miny, moje dziecko, jesteś niemądry: bo ty jesteś kochankiem... Wymarzone kochankiem mimo twoich czterdziestu jeden lat, brody... i różnych gustów...

— Dlaczego kłamię? Wiem dobrze, o czym marzyłaś...

— Nie nie wiem... To musiałeś być właśnie ty; co prawda, nie wyobrażałam sobie ciebie ani tak, ani inaczej... Ale nie wiedział, że jesteś może ostatnim mężczyzną starszym od mnie, którego mogę kochać... Nie, nie przerywaj! Wiem, że nie jestem jeszcze taka stara, ale mam już dużą córkę, której bardzo się wstydzę... A przy tym zaczynam się starzeć tak wczesnie... Z każdym rokiem, rozumiesz... Mężczyźni, których kochałam jako młoda dziewczyna, zbliżają się do wieku, kiedy nie można ich już kochać...

— Dziekuje!

— Cicho bądź, nie nie rozumiesz! Bo naprawdę starzejemy się w mężczyznach, którzy nas pożądają... Zachowuj się spokojnie, głupcze... Dobrze przyszedł mi linim, które już lekko żłobią ci się kolo nosa, tym brudnym biegającym od powiek... Mówię ci, że masz być cicho! Widzę je inaczej niż ty, kocham je, chociaż to mnie one niszcza, to ja zaczynam umierać w twoim coraz mniej młodym sercu, w... Rzuć się na jej usta, aby nie już więcej nie słyszeć. Walczyli przez chwilę; włosy kobiety spłotyły się z palcami mężczyzny; zawołała:

— To boli! — więc, zawstydzony, przeprosił.

— Czy możesz mi wytłumaczyć — rzekł po chwili milczenia — dlaczego powiedziałaś do Pauliny: „Może pani zatrzymać sobie swojego brodacza”? To sprawiło mi przykrość.

Śmiała się z zamkniętymi oczyma.

— Byłam zła na ciebie. Od dzieci dowiedziałam się o tej całej historii...



Fot. W. Parys

POWIĘKSZENIA

SAMOOSŁUGA

Jeden z klientów „Rzemieślniczej”, po suto zakrapianej kolacji udał się do parku im. Poniatowskiego, gdzie wspomniał o kole... wypili jeszcze strzemiennego. Było już po północy, kiedy sobie przypomniał o groźbie żony, która zapowiedziała mu lanie. Jeśli wróci nieatrzeżony. Zadzwoń więc z automatu pod „67” i wezwij do siebie radiowóz milicyjny. Po czym spokojnie położył się na ławce parkowej, oczekując na przewiezienie do Izby Wyrzeczni...

Informacje te „Express Ilustrowany” zatytułował: „W obawie przed żoną wybrał... Izbę Wyrzeczni”. Warto też podkreślić, że ów pan wyznał, jak na pijanego, rzadko spotykaną trzeźwość umysłu.

POPRAWA

Nasza ulubiona gazeta centralna pisze o placówkach handlowych Łodzi. „Przewidziano oddanie dwóch supersamów w osiedlach Retkina i Inflancka. Oprócz tych dwóch osiedli poprawy spodziewać się mogą: Teofilów, Podgórną, Karłow...”

Teofilów już się doczekał. Zamknięto właśnie na czas remontu supersam w DH „Teofil”. Z braku sklepu mieszkancom rzeczywiście nie pozostaje nic innego, jak „spodziewać się poprawy”. Tytuł informacji brzmi: „Co nowego w łódzkim handlu?” Odpowiadamy: „Wszystko po staremu”.

KRONIKA TOWARZYSKA

W Warszawie zapanowała moda na ślubny prowincjonalizm. Kierownik Urzędu Stanu Cywilnego w Zakopanem informuje w wydawnictwie dla warszawskiej prasy, że udzielił ślubu Magdzie Zawadzkiej i Gustawowi Holoubkowi...

Mazowieckie „Barwy” publikują na całej kolumnie pisma fotoreportaż ze ślubu Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego z Sabiną Figiel. Ślub odbył się w Płocku — pierwszym mężem był Stanisław Wróński, minister kultury i sztuki.

Ciekawą kronikę towarzyską Warszawy lat ostatnich zawiera również tom pracy Mirosła Białoszewskiego „Donosy rzeczywistości”. Z książki dowiadujemy się m. in., że pisarzowi groziła eksmisja poza granice Wielkiej Warszawy za stuczenie umywalki we własnej łazience.

Tak to jest w życiu... Jednemu doświadcza sam minister, drugiego chcą eksmitować z miasta. Czytelnik na tej podstawie sam sobie ustali skalę wartości. Głupia sprawa.

— Od dzieci?
— Oczywiście, twój syn powiedział dziewczynkom... Zresztą wiedziałam o waszej kłótni, o idiotycznej zazdrości twojej żony...
— Nie tak znowu idiotycznej...
— Idiotycznej wtedy, nie przerywaj mi ciągle, bo dostaniesz w skórę! A najśmieszniejsza ze wszystkich jest ta przysięga, że nie będziesz się do mnie odzywał... Po prostu byłam zła.
— Ale to jeszcze nie powód, aby nazywać mnie brodaczem.
— O co ci właściwie chodzi? Trwało to z tydzień, służba już sobie żartowała na nasz temat. Wtedy spotkałam na tarasie Pauline, podeszłam do niej, zdecydowana, aby z tym skończyć, sądząc, że jeżeli powiem jej coś serdecznego, zrozumienie może...
— A to świetnie! Coś serdecznego!
— Z początku byłam miła, ale nie wyobrażaś sobie, co ta twoja żona... To numer, więc co chcesz...
— Zostaw ją w spokoju, niewiele nam zawadza...
— Po pierwsze, przestań jej bronić. Ale ostatecznie między nami nie było zaszło. Trzeba było słyszeć jej odpowiedź! Bezcenna! Nagle zaczęła krzyżeć: rozumiałam, że chodzi jej o jakieś moje intrzygi... Wtedy powiedziałam: „Może pani zatrzymać sobie swojego brodacza, bo i tak nie przeszkodzi mi zdradzić pani, jeżeli mi przyjdzie ochota”.

— Ach tak, tego mi nie powtórzyła. Ograniczyła się do brodacza.

— Mój brodaczu!...

Przerzucił się nagle. Mówili głośno i wydało im się, że coś porusza się w ścianach. W takich zamkach, pełnych tajemnic, nigdy nie wiadomo!

— Wiesz — zaczął znowu — ta twoja imperyjnencja sprawiła, że nagle się zdecydowałam... gdy ona mi to powtórzyła. Chciałam być w porządku. Ale...

— Zarozumiałeś...

— A przy tym, rozumiesz, przysięgłam... Nie ma nie równie kuszącego, jak złamanie słowa...

Odwrociła się, nagle poważna, i spojrzała na niego z bardzo bliska, z niezwykłą intensywnością. Z tak bliska, że musiała widzieć go podwojnie...

— Potworze — rzekła — oto jaki jesteś naprawdę!

(Fragment). Tłumaczyła: ELIGIA BAKOWSKA

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. (36 zł). Redakcja nie zamawiających rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skróć. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłosz.” Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Łódź ul. A. Czerwonej 28 Zam. 2940, C-4, Nr indeksu 37006